№ 29. Warszawa, dnia 9 (21) Lipca 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Literatura czeska. — Jarosław Vrchlicki (wiersz). — Błędne drogi. Rzecz opowiedziana przez J. K. Gregorowicza (dalszy ciąg). — Ostatni z rodu. Opowiadanie historyczne (dalszy ciąg). — Wracam z koncertu (wiersz). — Korespondencya zagraniczna. — Pogadanka. — Z kraju i z zagranicy. — Zawiadomienie. W Dodatku: Stary zamek (La lizardière.) Romans współczesny (dal. ciąg). — Pani Teodora (dal. ciąg).

LITERATURA CZESKA.

Napisał

Wiktor Czajewski.

Zanim przedstawimy obraz historyi literatury czeskiej z ostatnich lat trzydziestu, musimy choć w kilku ogólnych rysach skreślić przebieg wypadków, które wpływały na cały stan wewnętrznego i umysłowego rozwoju tego narodu.

Jakkolwiek w pojęciach naszych, dzisiejszych, książka, do tego sumienną skreślona ręką, jest najwyższym wynikiem cywilizacyi, na którą, muszą się składać usiłowania i dojrzałość narodowa, to jeszcze i ona jest zależną od okoliczności, które w różnych formach wpływają na cały ustrój społeczny.

Czeski naród jest jednem ze szczepów słowiańskich, dziś zajmujący geograficznie najwięcej zachodnie stanowisko wśród całej rzeszy słowiańskiej.

W historyi Słowian zajmuje on bardzo wybitne stanowisko, jako szczep, który swoją piersią długo pod rządami Przemysłowiców i wcześniej, osłaniał wschodnich swych braci od zaguby politycznej, jak się to stało z ludami tegoż plemienia nad Łabą. Podczas tej walki, pod wpływem więcej cywilizowanych napastników, rozwinął się szybko, a wyrobiwszy sobie język i literaturę, kształcił na niej inne słowiańskie narzecza, nadając im główny koloryt i formę.

Pomimo tych świetnych dni czeskiego narodu, czasy Hussa, które do najświetniejszych wypadków i wyników ducha na polu oświaty, już nie tylko w Czechach i Słowiańszczyznie, ale nawet i w całej Europie kontynentalnej zaliczyć można, sprowadziły po sobie ogromną ruinę.

Wreszcie w dwa wieki niespełna potem Białogorska bitwa (1620 r.) spowodowała najboleśniejsze ciosy dla Czech i podkopała ich wszelkie warunki istnienia.

Były to najsmutniejsze chwile, które zrozumieć może ten tylko, kto to cierpiał... Wzbraniano wszystkiego, co tylko mogło naród czeski podnosić i uszlachetniać. Szkoły czeskie zamieniono na niemieckie, zamknięto drukarnie i niepozwolono drukować zupełnie ksiąg czeskich, za to na każdym kroku można było spostrzedz strażnika i szpiega niemieckiego, który z zapałem i gorliwością poszukiwał ludzi nie mówiących już, ale i myślących po czesku.

Taki stan rzeczy, jak najgorzej oddziaływał na całą narodowość, którą we dwa wieki potrafiono przerobić do niepoznania. Od czasu do czasu, budzili się tylko geniusze na emigracyi i w kraju, a przynajmniej ludzie obdarzeni silną i niezwyciężoną wolą, i ci starali się przemówić do braci swoich, aby pokrzepić ducha, a w zbolałe serce wlać iskrę nadziei.

Przy takiem położeniu naród cały zwykle ogarnia początkowo rozpacz, potem i ta słabnie, zmieniając się w apatye lub bezgraniczny mistycyzm. Wszystkie te peryody przeszedł naród czeski, aż wreszcie zwątpili i jego wieszcze, szukając punktu wyjścia dla swoich myśli, wylęgłych po za granicami ojczystej ziemi.

Zjawił się Kollar i Czelakowski, ale brzmienia ich pieśni słabły i odbijały się o serca już zlodowaciałe. Bo nie cudzych tu skrzydeł było potrzeba, ale ognia i ciepła matki, która by swoją piersią, swoją krwią ogrzała i powróciła ducha tego, jaki wpierw już poruszał piersi te i serca, ducha co jeszcze w małej iskierce, tam za bryłą lodu tlał i czuł co mu było potrzeba.

W te własne struny potrafili uderzyć nieśmiertelny Jungman, wielki Palacki i Szembera. Oni pierwsi odnaleźli tę nową prawdziwą drogę i zaczęli pielęgnować świat nowy. Niechcąc być lekarzami dusz chorych, które dawno rak pożarł, wypielęgnowali nową roślinkę. Okazało się, że korzenie owego wielkiego drzewa były zdrowe. Z nich więc wyrosły nowe pędy, rozwinęły się z szykością niesłychaną i znów stały się drzewem o wielu gałęziach i wydały bujny i piękny kwiat a zarazem owoc.

Owoce te zaczęły właśnie dojrzewać podczas rozruchów, które w 1848 roku owładnęły całą Europą, a w Austryi obudziły świeże nadzieje. Nie koniecznie jednak te wypadki oddziałały skutecznie na literaturę i stan umysłowy czeski. Przedwczesne nadzieje z wystąpienia Węgier zawiodły, a z niemi naród czeski pogrążył się wtem większą apatyę.

Wszystko to oddziaływało jak najgorzej na całe społeczne stosunki. Najpierw uległy im miasta, gdzie wstydzono się mówić po czesku, a każdy czy to rzemieślnik, czy urzędnik, czy inny jakikolwiek obywatel wypierał się raz na zawsze swojej mowy, swego języka, swych przodków, swej cywilizacyi, tak, jakby naród czeski nie istniał wcale.

Wobec takiego stanu niepotrzeba się było zbyt wiele troszczyć o wynarodowienie Czechów, gdyż wszystkie ich miasta w niczem nie różniły się od ziem innych niemieckich. Na szyldach nawet nigdzie nie spotkano innych napisów, jak tylko niemieckie. Słowem naród ten nie istniał. A gdy potrzebny był do innych ziem Słowiańskich, jaki gorliwy urzędnik, któryby interesa państwa sprawował zgodnie z jego planem, wtedy wysyłano tam człowieka, co wyparł się swej narodowości i języ-

ka i całem swem postępowaniem starał się dowieść, że niemi ostatecznie gardzi.

Usiłowania więc rządu ziściły się, z Czechów przygotował materyał, w którym nic oprócz żądzy rozpanoszenia się i pochlebstwa nie pozostało. Największe moralne prawa i zasady zamarły w nich... zgnilizna tylko i śmierć patrzyła z oczu pięcio-milionowego ludu!

Wobec takich stosunków społecznych, jakież stanowisko zajęła literatura i jak się rozwijała wtedy, gdy nikt nie znał Czechów! nikt nie wyciągnął do nich dłoni, aby im wskazać inny świat, inne daleko szczęśliwsze i swobodniejsze życie.

Literaturę więc jaką mają, a o której mamy mówić utworzyli oni sami.

Któż był ci oni? Czy ludzie zamożni? Czy wielcy? Czy może rozporządzający ogromnemi majątkami? Nie, zupełnie stało się inaczej.

Ci co byli z dawnych rodów, ci których naród obsypywał kiedyś godnościami, nagradzał ziemią, witał okrzykami, zdobił wszystkiem co było najbogatszego na świecie, ci porzucili i wyparli się go, pozostawszy panami niemieckimi, reszta zaś tych, co gorliwiej służyli krajowi, wyginęła w wojnach o prawa narodowe. Został więc sam lud ze zniemczonem mieszczaństwem a i ten musiał używać obcego języka, zarówno w szkole, gdzie się kształciło młode pokolenie, jak w stosunkach z władzami miejscowemi.

Z tego jednak ludu wyszli owi pierwsi krzewiciele światła i prawdy, moralności i pojęć wraz z uczuciami narodowemi. Pierwiastkowo nauka musiała być bardzo popularną i przystępną a nawet w części zabawką. Potrzeba było nie nauką, lecz pieśnią rozniecać to co piękne, co wzniosłe i co wielkie.

Wytworzył więc się cały szereg poetów piszących wiersze, od których nie wymagano wiele, byle w nich było dużo patryotyzmu, trochę uczucia, to o resztę już nie pytano i nie dochodzono.

Tak powstał czeski narodowy hymn: „Gdzieś rodzino moja", który ani estetycznym układem, ani wzniosłą i głęboką myślą wcale się nie odznacza. Ażeby lepiej przedstawić te próby budzącej się poezyi przytoczę go w oryginale z objaśnieniami, dlatego tylko ażeby nie popsuć pierwotnej formy:

— Kde domov muj? (¹)
— Kde domov muj?
Voda huczí po luczinách, (po łąkach),
Bory szumí po skalinách,
V sadie skvi se jara kviet,
Zemský ráj to na pohled, (²)
A to jest ta krásná zemie,
Zemie Czeská domov můj,
Zemie Czeská domov můj!

Kde domov muj?
V kraji, znász-li bohumilém,
Dusze útlé v tiele czilém,
Myśl jasnou (³), znik, a zdar (⁴)
A tu sílu, vzdoru (⁵) zmar, (⁶)
A to jest ta krásná zemie
Zemie Czeská domov můj!

(¹) Gdzieś rodzino moja?
(²) Pogląd, widok.
(³) Jasną.
(⁴) Poszczęści.
(⁵) Kłutnia.
(⁶) Na marność.

Jest to śpiew druciarczyka z operetki Józefa Kajetana Tyla, z którego imieniem przyjdzie się nam jeszcze nieraz spotkać. Operetka ta nosi tytuł „O sudny den fidlovaczky" była ona dana po raz pierwszy w 1834 roku wraz z muzyką Jana Nepomucena Szkroupa. Odtąd śpiew ten pochwycił lud i z piersi jego więcej już go nikt nie wyrwie, pozostanie on na wieki, tak jak dziś hymnem czeskim, chociaż ani treść, ani melodya temu nie odpowiada. Toteż do roku 1848, jak świadczy Macha, jeden z celniejszych, wcześnie zgasłych poetów czeskich, nie potrzebowali Czesi kształcić swojej literatury na wzorach zupełnie skończonych — wzorach klasycznych. Im wystarczało wszystko co swojskie co własne, chociażby nie obfitujące w poetyczną formę. Byleby w wierszu znalazł się wyraz „vlast" i „slast" (¹) a to dostatecznem było, aby autor wyrobił sobie uznanie celniejszego poety czeskiego.

W tym też kierunku rozwijała się czeska literatura i poezya, w tym duchu pisali znany nam Bolesław Jabłoński, (ks. Eugeniusz Tupy) i więcej jeszcze od tego ulubiony i znany w Czechach Wacław Jaromir Pycek, urodzony w 1812 r. w Ujezdie u Turnowa, okręgowy sędzia w Zbrasławiu, którego pieśni w części zostały przyjęte jako narodowe. Do tych możemy zaliczyć pieśń „Nad Beramkou pod Tetinem" i inne, chociaż żadna z nich nie ma jak i sam hymn czeski żadnej poetycznej wartości, a świadczy tylko o stanie umysłowem tego społeczeństwa i jego uczuciach, które pragnęły mieć coś własnego, choćby to w porównaniu z innemi pięknemi tworami nie miało żadnego znaczenia.

To też kiedy na widownię literacką wystąpił nowy talent, głębszy i bezporównania więcej wykształcony na wzorach obcych przedewszystkiem angielskich i polskich, to wszyscy z niedowierzaniem patrzyli na tego człowieka.

W każdym razie wzbudzone narodowe uczucia i prawa równouprawnienia w miesiącu marcu 1848 roku przyczyniły się znacznie, że naród poczuł się choć na chwilę o wiele silniejszym, odrzucił apatyę i mistycyzm i znaczny krok uczynił naprzód.

Lecz ta chwila szczęścia nienadługo wystarczyła. Strasznie zapowiedział się rok 1849, z dniem 11 marca ustała wszelka czynność literacka a zastój ten trwał cały rok przeszło. Stare „Kviety" które były organem wszelkich literackich wiadomości, zaczęły rozkwitać chwilowo, ale na to tylko, aby czemprędzej opuścić zwiędnięte listki i umrzeć na zawsze. Drugie peryodyczne pismo „Vczela" ledwie dogrzebała się do końca roku, „Putnik" umarł o wiele wcześniej.

Toż samo działo się i na Morawie.

„Morawski Tygodnik" chwiejącym krokiem także zapełzł do grobu, wyprzedzony przez swego towarzysza „Orła Tatrzańskiego", który w miesiącu marcu już przestał wychodzić.

Czasopismo podtrzymywane kosztem Muzeum Narodowego Czeskiego, w braku prac w trzecim kwartale zawiesiło swoje wydawnictwo. (²)

W czwartym zaś jego zeszycie już w 1849 roku jeden z najcelniejszych poetów i współpracowników J. Erazm Vocel, (¹) poprzedził bajki swe tym wstępem:

Umyśliłem kilka pieśni do pisma tego napisać, gdyż wiadomo społeczeństwu inteligentnemu, że dziś nie ma żadnego organu gdzieby poezya, literatura i sztuki piękne znalazły należyte ocenienie. Odtrącacie je; są też zaniedbane, wzgardzone, potępione dla nauk ścisłych, chociaż wszystko ma prawo obywatelstwa.

(¹) Ojczyzna — miłość.
(²) Pierwszym redaktorem tego czasopisma był Palacki, założono go w 1827 r.

Były to ostatnie prawie głosy. Na drugi rok piśmiennictwo czeskie wlokło się bez żadnych estetycznych poglądów. A potem... potem osłabła krytyka. Wszystko co tylko było drukowane przyjmowano milczeniem, lub też przyklaskiwano wszystkiemu. Taki stan bynajmniej nie mógł wpływać szczęśliwie na cały rozwój literatury czeskiej, a trwał on dosyć długo, gdyż aż do wystąpienia dziennikarza i literata Hawliczki. (²)

Hawliczek Karol urodzony 30 października 1821 roku w Borovie, kształcił się początkowo na księdza, wkrótce jednak przerzucił się na inne pole i został literatem. Ostry satyryk i surowy krytyk nie darował nic swemu społeczeństwu, coby zasłużyło na naganę. Jego satyry do dziś nie mogą być drukowane w pierwotnej formie gdyż przepisy prasowe połowę ich obcinają. Pod taką surową krytyką zaczęło się nieco wyrabiać piśmiennictwo i społeczeństwo czeskie, z którą rozpoczyna się nowy zupełnie okres.

Ale wróćmy jeszcze do wypadków 1848 r.

Zaznaczyliśmy, że od dnia 11 marca przestano czytać i pisać w Czechach. Wreszcie po 11 marca różne pozory polityczne stanęły na pamięci Czechom, z czego powstała ogólna obawa, która w inną stronę odwróciła umysły.

(*D. c. n.*)

Jarosław Vrchlicki.

Przekład z czeskiego.

COM ŚPIEWAŁ PODCZAS BURZY.

Pięść ukazał mi los
Potworny siny.
„Pójdź ze mną, człecze, w bój
O chleb, wawrzynowy!

Znasz o Syzyfie baśń?
Jam odłam skały!
Zdruzgoczę wolę twą,
Tyś karlik mały!"

— Psie wściekły, rzekłem mu,
Mam dość śmiałości,
Aby urągać twym
Kłamstwom, ciemności.

Mam swoją dziką pieśń,
Kwiat w pączka sieci,
Bij gromem w stary dąb —
Ptaszę odleci.

(¹) „Slavin" (Tom I, str. 91) zawiera biografię Vocla.
(²) „Slavin" (Tom I, str. 15) pomieszcza życiorys Havliczki wraz z portretem. „Osveta", ze Života Karola Havliczka przez W. Zielenego Tom II, str. 321, 477 i 646.

Zyskiem chcesz zwabić mnie
W swój wir ułudny?
Mam serce wierne mi,
Tam spokój cudny.

W mem oku widzisz łzę.
Gniesz czoło harde?
Choć stracę wszystko, mam
Dla ciebie pogardę!

Miriam.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Widocznie układał jakieś plany, jakaś myśl kiełkowała w nich obiecując plon obfity. Zamyślenie jego nie uszło uwagi Justyny. Znała go dobrze, wiedziała że jest lokajem faworytem, a tacy mają przystęp i do łaski pańskiej i do ich uszów. Może też na to coś rachowała.

W kawiarni jako w przedpołudniowej rannej godzinie, gości było nie wiele, a gawędkę Justyna lubiła. Marcin wprawdzie był tylko lokajem, ale Justyna dobrze wiedziała, że często panami rządzą lokaje, choć sądzą, że im rozkazują.

— O czem to pan Marcin tak się zamyślił? — zapytała składając książkę na bufecie.

— Ej! o zwyczajnej bardzo rzeczy — odrzekł Marcin przysuwając krzesło — ale gdybym powiedział to możeby pani nie uwierzyła.

— Czyż jestem tak niedowierzającą?

— Powiem zatem, oto o pannie Zofii którąm widział śpiewającą przy fortepianie.

— O niej? A to rzecz zabawna! Dziewczątko wychowane skromnie, po domowemu...

— Gadaj pani zdrowa, panienka jak hrabianka, a co za uroda, co za uroda! — przerwał Marcin z uwielbieniem. — Gdybym był panem, zarazbym o jej rączkę poprosił.

— To szkoda, że pan Marcin nie jest panem, miałabym zięcia już gotowego...

— A ja żonkę ananasik! — domówił Marcin, cmokając ustami. — Gdyby mój panicz Zbigniew poznał ją...

— A niechże Bóg broni! — zawołała Justyna — panowie lubią tylko bałamucić.

— Jak którzy — pani Justyno — jak którzy. Mój panicz Zbigniew to taka zapalna sztuka, że jakby się zawziął to na nicby nie zważał i żonkę wziął według swego wyboru.

— Ej co mi tam taki pan Zbigniew! Mąż mi powiedział, że państwo jego strasznie puste, ojciec pan Władysław podobno stracił cały majątek.

— No, tak, dogryza resztki, ale za to ciotka pani Smirska bardzo bogata pani. Pana Zbigniewa ogromnie kocha jak własnego syna, i ma mu cały zapisać majątek. A majątek to nielada, miliony pani, miliony, w dobrach i kapitałach wioski tylko się roją. A co sreber w domu, co kosztowności, to druga pańska fortuna. Pan Zbigniew będzie panem całą gębą a na to państwo czekać będzie niedługo, bo ciotka pani Smirska bardzo już wątła i roku zapewne nie dociągnie. W przyszłym dworze pana Zbigniewa, który mu urządza, marszałkostwo mnie oddano.

— Winszuję panu tego awansu — odezwała się Justyna — ale mimo tego broń mnie Boże od takiego zięcia, coby zapewne tak z żoną postąpił jak jego ojczulek z pierwszą swoją małżonką.

— Jakto? — zapytał Marcin. — To pan starszy Władysław miał dwie żony?

— To pan o tem nie wiedziałeś?

— Pierwszy raz słyszę.

— Pierwsza pochodziła z prostej drobnej szlachty Bociagów, z którą żył podobno nie całe dwa lata i znudzony, rozwiódł się i zaraz powtórnie ożenił z młodą wdową, ale bardzo bogatą. Z pierwszej nawet owej Bociażanki syn pozostał...

— Syn? No, no, no! a cóż się z nim stało? Czy umarł?

— Żyje zapewne, bom go chłopięciem przypadkiem spotkała w ogródku. Był wtedy terminatorem u szewca, dziś zapewne jest już czeladnikiem i klepie biedę przy szydle i dratwie.

— No, no, a to nowina — kręcąc głową odezwał się Marcin.

— Namówiłam mego męża, żeby się ujął za dzieciną i wydobył dla niego jakie uposażenie. Pochodził za tem, z chłopcem widział się jak naprawiał buty, ale przekonał się, że ojciec jego pan Władysław zupełnie zrujnowany, nie było więc o co karku nadstawiać.

— Co prawda, starszy pan, był zawsze furfantem jak mi powiadano, zestarzał się furfantem i takim już umrze, ale pan Zbigniew to nie taki. On tylko nie lubi, żeby się jego woli sprzeciwiano i jak sobie co ułoży w głowie, to żeby tam nie wiem co, musi stać się tak jak zechce. Ho! ho! znam ja go dobrze, na wylot i wiem, że jeżeliby pokochał pannę Zofią, toby jej niczego nie poskąpił, obsypałby brylantami, a musiałaby mu być wzajemną.

— Tak to się mówi, ale nie tak się robi. Z mężczyznami to strasznie trzeba być ostrożnym. Bałamutka u nich chleb powszedni a ja córek swoich bałamucić nie pozwolę. Zdarzy się jaki uczciwy człowiek, pokocha i zechce się ożenić, to pobłogosławię i według swej możności dopomogę żeby się chleba dorabiali, ale bałamucić wara. Ja nie z państwa wyszła i wiem co uroda znaczy w naszym stanie. I mnie kiedyś różnych adonisów nie brakowało...

— O! wiem o tem, wiem — przerwał Marcin, rzucając zalotne spojrzenie. — Toć przecie mi mówiono, że za wesołą i uroczą Justysią cała warszawska młodzież przepadała...

— Było tak, nie chwaląc się, ale wszystkich umiałam trzymać w ryzie i zarzutu nieuczciwości nikt mi nie zrobił.

— Ba! to się wie, a co to za podarunki musiała pani odbierać.

— Podarunki? — odrzekła Justyna podnosząc ramion. — Same głupstwa i drobiazgi! karmelki, cukierki, owoce, ciasteczka, pierścioneczki...

— Ej! to tylko chudeusze takiemi głupstwami skarbią sobie łaski upragnione. Młodzi panowie co się z moim panem Zbigniewem przyjaźnią to tysięcy nie żałują na swoje różne figielki.

— I cóż im z tego przychodzi?

— A cóż? Nic, fantazya i basta! Panicze nasi na fantazye nigdy grosza nie żałują.

— A że to tak starsi na to pozwalają? — zapytała Justyna potrząsając głową.

— Ej! młode piwo, aby się wyrobiło musi burzyć a jak się wyburzy, to...

— Z niego ocet! — domówiła Justyna ze śmiechem.

— A cóż to nas obchodzi? Niech zostaje octem, byle z jego szumu coś nam się dostało. Mądry zawsze bierze a głupi daje.

— Z pana Marcina to widzę wielki filozof.

— Ba! na dworskim chlebie człowiek głupi nic nie zrobi. Trzeba się umieć i tak i owak wykręcać, mieć na wszystko oczy i uszy a język za zębami. Gdyby jednak panicze nasi jakim sposobem do kawiarni pani zwabili się, ho! ho! jakby się to dochód z niej powiększył.

— A któż im broni, przecież drzwi nie zamknięte i dla gości zawsze stoją otworem.

— No to się wie, ale trzebaby jakiego wabika, bo tak na sucho to się nie uda.

Justyna zamyśliła się, zapewne nad owym wabikiem, a Marcin uważając to za dobry znak, zapytał po pewnej chwili:

— Czy to prawda, że panna Zofia uczy się konnej jazdy.

— Tak doktorzy poradzili, ale koszt to wielki.

— No, zapewne, dla zdrowia jednak niczem nie należy gardzić. Jakaż to śliczna będzie z niej amazonka, tylko bój się pani Boga nie puszczaj jej na miasto w południowe godziny, bo jak ją panicz Zbigniew gdzie zobaczy, to mi ogromnego narobi kłopotu.

— A to ciekawam jakiego?

— Zaraz będzie się pytać, a kto to, a co za jedna, gdzie mieszka, jak się nazywa...

— A cóż to może pana kłopotać?

— Ba! musiałbym prawdę powiedzieć, a wtedy cała kalwakata wnęciłaby się do państwa mieszkania i jakby zobaczyli, że panna Zofia umie i grać i śpiewać i rozmawiać po francuzku, że z postawy wygląda jak wielka pani, a z urody jak syrena, to podarunki złote i brylantowe sypnęłyby się gradem. Starszy pan Władysław, ojciec pana Zbinia to cały swój majątek przepuścił na ładne buziaczki, umizgi i zalecanki...

— I żona pozwoliła na to? — zapytała Justyna.

— Ba! nie każda choć największa pani, ma taki rozum jak pani Justyna. Było tam kwasu, płaczu, jęku i westchnień dosyć, zaklinań i przyrzeczeń także nie brakowała, ale co się przyrzekło to uciekło i jak pan starszy z jednej się biedy opędził, tak hula babula! w rok w drugiej biedzie siedzi, jasna pani płacze, starszy pan chodzi z nosem po pas zwieszonym, a buziaczki się radują i brylanty rachują. Dla jednej nawet, to tylko mignęło się, frru! i cała wioska poszła na wiano. Taki to awanturny był pan starszy, a i pana Zbinia buziackiem toby na kraj świata poprowadził. Gdyby poznał pannę Zofią, toby się potem pani przed nim opędzić nie mogła, a wszystko byłoby na mnie, żem tej biedy nawarzył.

— Co też to się panu troi w głowie! — odezwała się Justyna. — Przeciec ja wiem co komu przynależy i umiem sobie radzić jak potrzeba.

— Ej! o tem nie ma mowy, dla państwa też wiele kłopotu z tego nie wyrosłoby, ale mnie to chybaby pan Zbinio zamęczył jakby zaczął pchać do ogrodnika po bukiety, do złotnika, do jubilera po kosztowności, do kupców, do magazynów, do teatru po bilety, a! to byłoby czyste urwanie głowy! Nie chcę! nie chcę! niech panna Zofia rankiem przejeżdża się konno, a nigdy w południowych godzinach, moja droga pani, proszę, bardzo proszę.

Marcin uchwycił rękę pani Justyny i z dobrze udanym zapałem ucałował ją przyciskając do ust ognişcie. Gosposia nie broniła się i uśmiechając się odrzekła:

— Co też to za pleciuga z tego pana Marcina, gdyby jaki niemądry usłyszał to Bóg wie coby sobie pomyślał.

— A co pani myśli? — zapytał Marcin, zabierając się do wyjścia i gładząc kapelusz.

— Co ja myślę? To myślę, żeś pan dworus, ale niepoczciwy przyjaciel, bo rzadko nas nawiedzasz.

— To się poprawię, pani Justyno, poprawię, a teraz pod stopki jej upadam i pannie Zosi przesyłam dwa całuski... ma się rozumiéć, że rączek, bo o buzi nie śmiałbym nawet pomyśléć.

Panicz Zbinio jak go nazywano, był o półtora roku młodszy od Józia, a według praw Boskich i ludzkich, był jego bratem rodzonym.

O krewieństwie tem jednak oba młodzieńcy nic nie wiedzieli.

Zbiniowi nie mówiono o niem przez wstyd i wzgardę takiej hałastry jak Bociagowie, Józiowi przez niechęć a nawet nienawiść wszystkiego co trąci arystokracyą. Wiedział on coś, ale pobieżnie, niedokładnie, niemal legendowo, a świadomość o tem zatarł zupełnie, gdy Stanisława nazwał ojcem i miano to wyrył w sercu niby snycerz dlutem na marmurze. Były to *błędne drogi*, któremi obie strony postępowały: kuły je długie lata a nawet wieki i ukuły pęta zatracenia.

(*D. c. n.*)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

II.

Jakób Żędzian, przodkowie którego już za czasów Leszka Czarnego szczycili się mieszczaństwem lubelskim, ostatni męzki potomek tego rodu, idąc za wolą rodzica swego wielkiej powagi w swoim czasie używającego Rajcy Lubelskiego, oddany do szkół krakowskich kształcić się począł z zamiarem przyjęcia święceń kapłańskich. Był też już blizki wytkniętego celu, gdy nagle doszła go wiadomość, że ojciec jego zakończył życie i że na barkach jego spoczęła opieka nad sędziwą matką i dwoma siostrami. Wezwany też przez Stanisława Lichońskiego, przyjaciela zmarłego Macieja Żędziana, młody akademik pospieszył do Lublina tem chętniej, że do stanu duchownego kształcił się jedynie z woli ojca nie czując w sobie powołania. Przybywszy do miasta rodzinnego, niebawem obok złożył na cmentarzu st. Michalskim i martwe zwłoki swej rodzicielki, która zapadłszy na zdrowiu, mimo troskliwej opieki i możliwego ratunku długo przeżyć nie mogła poniesionej straty.

Tak pozostawszy sam, zajął się naprzód losem siostr, z których starszą Reginę w rok po śmierci matki wydał zamąż za doktora Laurentego Felkiela, a młodszą we dwa lat później za Michała Klimuntowicza mieszczanina lubelskiego. W lat parę później, sprzykrzywszy sobie stan kawalerski, połączył się węzłem małżeńskim z córką Barbary Skromowskiej wdowy po mieszczaninie lubelskim i właścicielki wspaniałej jak na owe czasy kamienicy wznoszącej się przy rogu Rynku i ulicy Grodzkiej. (*) Małżeństwo te, Bóg pobłogosławił jedyną córką Małgorzatą, którą matka odumarła jeszcze w dzieciństwie. Od owego czasu, upłynęło już lat sporo i właśnie z chwilą śmierci Stefana Batorego, córka Jakóba Żędziana, powszechnie zwana Małgorzatą, liczyła już dwadzieścia lat życia swego.

Ojciec Małgosi liczący przeszło lat pięćdziesiąt, wzrostu słusznego, o szlachetnych rysach twarzy nacechowanych wysoką inteligencyą, ubierał się zawsze wedle owoczesnego zwyczaju w długi niżej kolan sięgający żupan, po wierzchu którego przywdziewał delię z długiemi od góry do dołu rozprutemi rękawami, które aby w żywych ruchach nie przeszkadzały zakładał za pas rzemienny zdobny w srebrną turkusami sadzoną klamrę. Godności żadnych nie piastował, pomimo że mu nawet wójtostwo ofiarowano, cieszył się jednak wielkim poszanowaniem u współobywateli, którzy chętnie jego rad i wskazówek słuchali. Nawet chytry wójt Leonard Mrzygłod nieraz udawał się do Żędziana po rady, starając się łaskę jego zaskarbić, wiedział bowiem, że kto zaufanie i względy Żędziana posiadał ten je i u innych pozyskiwał.

Małgosia ukochana córka sławetnego Jakóba, istna krew z mlekiem, budząc we wszystkich podziw swą pięknością a co więcej i rozsądkiem, mimo że licznych miała wielbicieli, stroniła od wszystkich, twierdząc, że jeszcze dosyć będzie miała czasu, aby włożyć na głowę czepiec małżeński. Skrzętna zaradna i dobra gospodyni, a przytem pełna nieokreślonej wyższości tak w obejściu się jak i w mowie, zmuszała wszystkich do poszanowania, co znowu było powodem, że mieszczanki lubelskie, upatrywały w niej chęć wywyższenia się nad rówieśniczkami.

Małgosia była wzrostu słusznego i kształtnie zbudowana, twarz o rysach klasycznych ożywioną była czarnemi, snopy iskier ziejącemi oczami przysłoniętemi długiemi jedwabisto miękkiemi rzęsami. Wdzięcznym łukiem zakreślona czarna gęsta brew i prześliczne z błękitnym odblaskiem czarne włosy ujęte w dwa grube i niezmiernie długie warkocze uwydatniały delikatną, przejrzysto różowawą cerę. Usteczka małe jak rozkwitający pączek róży, lekko czarującym uśmiechem rozchylone pozwalały widziéć ząbki drobne i białe jak perełki. Mała zgrabna rączka i takaż nóżka, uzupełniały niczem nie zamąconą harmonię piękna, jakie Małgosi dostały się w dziale od hojnej natury. Wiedząc aż nadto dobrze, że jest piękną, godną ozdabiać nawet komnaty królewskie, Małgosia również pięknie aczkolwiek zawsze skromnie się ubierała. Zwykły niemal codzienny strój jej, stanowił gorset obcisły z barwnego flamandzkiego sukna i ciemna jubka jedwabna lub też falendyszowa, po wierzchu zaś delijka z długiemi rękawami rozprutemi w całej długości i zgrabnie w tyle związanemi, na głowie błyszczało czułko ozdobione wisiorami, szyję okalały duże korale, drobne zaś nóżki ujęte były w zgrabne czerwone półbuciki z wysokiemi czarnemi korkami i śpiczastemi nosami.

Otóż i teraz nieco strojniej przyodziana Małgosia, jako gospodyni domu wraz z ciotkami swemi Reginą i Barbarą wedle woli ojca przyjmować miała w obszernych i dostatnio przystrojonych izbach ojcowskiego domu, dostojnych gości zaproszonych na biesiadę. A niezwykli i niepospolici to byli goście, bo książęta Jan Siemion i Aleksander Słuccy, Stanisław Górka wojewoda Poznański, Adam Tarło wojewoda Lubelski, Piotr Jędrzej Czarny kasztelan Lubelski, Marek Sobieski chorąży nadworny i wielu innych pod tę porę w Lublinie bawiących dygnitarzy.

Zmierzch już zapadać począł a z wieży ratuszowej dawno już stróże otrąbili południe, gdy zaproszeni bądź to konno, bądź też kolebkami, bądź i pieszo przybywać zaczęli w gościnę do lubelskiego Wierzynka. W obszernym przedsionku sławetny imci pan Jakób Żędzian otoczony przyjaciołmi swemi Lichańskim, Żórawskim, Lubomelskim, Klonowiczem, D-rem Felkielem i Klimuntowiczem, witał z przynależną lecz wcale nie upokarzającą atencyą, nadciągających gości, których bądź Felkiel, bądź też Klimuntowicz jako szwagrowie Żędziana, wprowadzali do izb zajmujących pierwsze piętro. Przed kamienicą tłum gawiedzi i pospólstwa przyglądał się przybywającym magnatom i w miarę jak który z nich był więcej lub też mniej lubiany, witał okrzykami lub też milczeniem a nieraz i ostremi słówkami. Najżyczliwiej powitano księcia Jana Siemiona Słuckiego, który z wrodzoną sobie uprzejmością przed witającymi go uchylił sobolewego kołpaka. Do zgromadzonej gawiedzi przyłączyli się także służba i dworzanie gości Żędziana, tworząc tłum różnobarwny, ruchliwy i gwarny, który korzystając z pogodnego i niebardzo mroźnego dnia przechadzając się niemal cały rynek zapełniał. Kilkanaście kagańców płonących na wysokich żerdziach rzucało krwawy blask na całe otoczenie, oświetlając fantastycznie zczerniałe mury ratusza, który z swą wysoką wieżą sterczącą wysoko po nad dach ukryty po za blankami, z podziwem patrzał na kipiące wokoło niego życie.

Właśnie na zegarze wieżowym wybiła ósmasta godzina (*), gdy z ulicy Rybnej, z po pod bramy też nazwę noszącej a ku kamienicy Skromowskiej wysunął się liczny orszak wojewody Poznańskiego, otoczony kilkunastu hajdukami niosącemi zapalone pochodnie. Pan wojewoda wsparty na ramieniu dworzanina otulony w potężną wilczą szubę i z głęboko na uszy nasuniętą sobolową czapką, postępował środkiem ulicy żywo rozmawiając z towarzyszącym mu Spytkiem Jordanem. Za wojewodą kroczyli Stanisław Dyabeł z Łańcuta Stadnicki, Stanisław Radwan z Uchoń Uchoński, Adam Trzciński z Borowa i kilku innych z panów szlachty przyjaciół i adherentów wojewody. Przed zbliżającym się orszakiem poprzedzonym przez dwóch rosłych hajduków, tłum zgromadzony na rynku rozstępywał się czyniąc wolne przejście ku domowi Skromowskich.

Postać wojewody wcale nie imponująca i wielkiego poszanowania nie nakazująca, przeciwnie budząca wstręt pewien, a przytem nasuwająca różne myśli wcale nie pochlebne dla pana wojewody, wywoływała pomiędzy zgromadzoną gawiedzią różne uwagi, spostrzeżenia i zjadliwe słówka, które niewątpliwie dolatywały drażliwych uszów wojewody, bo od czasu do czasu spoglądał z pod oka

---

(*) Dziś ta kamienica oznaczoną jest num. pol. 6 (num. hip. 666.)

(*) Wedle dzisiejszej rachuby na półzegarzu godzina 6 wieczorem.

na tłum go otaczający, rzucając nań wzrok pełen nienawiści i tajonego gniewu.

— A spojrzyj no kumie — mówił jeden z bliżej stojących mieszczan do sąsiada swego — co to za poczwara? Brzydkie w nim cielsko, brzydka i dusza.

— Albo to heretyk ma jaką duszę? — ozwał się zagadnięty. — A czyż to waszeć nie słyszał co mówił ojciec Bernard (*), że wierni tylko kościołowi świętemu mają duszę stworzoną na podobieństwo Pana nad Pany, a pogan i heretyków to ożywia tylko dyabelska para!

— Która jak pęcherz rozdyma to cielsko! — dorzucił ktoś z tłumu.

— Ba żeby to tylko! — rzekł pierwszy — ale kiedy bo ta para nie daje mu spokoju i sprawia, że pomiata wszystkimi, ziejąc ciągle piekielną złością, która ją chyba kiedy poźre!

— Bóg też go naznaczył potwornością — zawołał jeden z tłumu — jakby ostrzegając ludzi, aby się mieli na baczności.

— Maszkara!

— Zyzus!

— Kuternoga! — ozwały się głosy z różnych stron.

— Istna kara Boża! — dorzucił mieszczanin stojący najbliżej przechodzącego orszaku.

Na słowa te dosyć głośno wypowiedziane, pan Wojewoda, zatrzymał się na chwilkę w pochodzie i spojrzawszy baczliwym wzrokiem na mówiącego szepnął półgłosem:

— Podłe żmije, motłoch plugawy! — i zacisnąwszy zęby ruszył dalej ku szeroko rozwartym wrotom kamienicy Skromowskiej, gdzie na progu stał Żędzian witając przybywających gości.

Z przynależną atencyą powitany pan wojewoda poprzedzony przez gospodarza domu, ruszył na piętro do izb gościnnych gdzie już prawie wszyscy biesiadnicy byli zebrani.

Na przeciw wchodzącym z pośród otaczających gości wysunęła się nadobna Małgosia, olśniewająca urodą i nadzwyczaj bogatym strojem, a zbliżywszy się do pana wojewody, zgrabnym ruchem i uprzejmym słówkiem powitała go w progach domu ojca swego.

— Moja dziewka, miłościwy wojewodo — rzekł Żędzian — która względom i łasce waszej i miłości swe służby zaleca!

— Czołem waszmościance, czołem! — odrzekł wojewoda -- słyszałem już wiele o jej urodzie i cnotach, lecz zaiste rzeczywistość przewyższa wszelkie opisy i oczekiwania. Wenus co wyszła z piany fluktów morskich godną w jejmościance ma rywalkę! I ręczę, że Jowisz ujrzawszy takie dziwo, uczynił by ją królową serca swego.

— Niestety! — odparła Małgosia rumieniąc się — Bogów pogańskich nie ma już na ziemi, nie mogę więc mieć nadziei, aby to nastąpiło a zresztą jam nie do tronu lecz do kądzieli i pracy zrodzona!

— A czyż znalazłby się taki barbarzyńca—zawołał wojewoda pożądliwie spoglądając na zarumienioną Małgosię — któryby się poważył te drobne rączki obciążać jaką pracą? Jam chociaż już stary, a jednak chętnie jako niewolnik zaprzągłbym się do jej rydwanu i byłbym szczęśliwy, gdybyś czasami na swego sługę spojrzeć raczyła!

(D. c. n.)

(*) O. Bernard Pegazius, słynny kaznodzieja zakonu kaznodziejskiego (OO. Dominikanów), Lublinianin rodem.

WRACAM Z KONCERTU.

Wracam z koncertu — i tony biegną
Mą drogą;
Tonów miryady, a bólu zgłuszyć
Nie mogą.

Wracam z koncertu, deszcz drobny pada
I pada;
W myśli nie dźwięczą tony wesołe, a smutnych,
Taka gromada!

Padaj deszczyku, płacz kropli swemi
Nademną;
Może ukoisz, boleść mej duszy
Tajemną!

Zroś głowę moją, zroś moje czoło
Me skronie;
Może oziębisz serce — oziębisz to
Co w niem płonie!

Władysław Buchner.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Lwów.

Ruch literacki. — Odczyty. — Teatr i nowa dyrekcya. — *Konrad Wallenrod* Żeleńskiego. — Obchód jubileuszowy odsieczy wiedeńskiej. — Wyścigi konne. — *Konserwatoryum muzyczne* pod kierunkiem Mikulego. — Szkoła Marka. — Obrazy Jacka Malczewskiego. — Portret Andrzeja Grabowskiego.

Oprócz *kazań* Skargi, wydanych przez pp. Gubrynowicza i Schmidta a odznaczających się godną uwagi poprawnością tekstu, oprócz broszur politycznych, nic nie wyszło w tym czasie wybitniejszego a zdolnego zająć obszerniejszą polską publiczność. Należałoby podnieść tylko drugie wydanie Listów Słowackiego Juliana do matki wzbogacone w tej drugiej edycyi listami poety do Wojciecha Stattlera, słynnego w owym czasie krakowskiego malarza, do Zygmunta Krasińskiego i tegoż odpowiedziami. O ile korespondencya z Matką odsłania czytelnikowi codzienne życie Juliana, niezmiernie ciekawe szczegóły, rzucające wielkie światło na jego utwory, a przedewszystkiem dające wniknąć w nieprzerwany proces wewnętrzny, w dzieje umysłu i serca, o tyle zamiana listów między dwoma znakomitymi poetami niezmiernie jest ciekawa z powodu wypowiadanych myśli, poruszonych kwestyi i najważniejszych zagadniej dotyczących człowieka i ludzkości. Samo nawet porównanie tych dwóch potężnych mistrzów słowa, tych dwóch olbrzymich fantazyi, tych dwóch tak różnych duchów stanowi nadzwyczaj zajmujący przedmiot do studyów.

Zresztą ruch piśmienniczy jeśli nie osłabł zupełnie, bo liczne robią przedruki, to pod względem istotnych nowości dziwnie przycichł. A o poezyi słych zaginął.

Odezwał się był wprawdzie Wł. Stebelski, istotnie niepospolity talent, ale w swoim *Romanie Zero* zdaje się mówić: „patrzcie, jak potrafiłbym pisać, jakim ja jestem poetą, ile we mnie siły, ognia, uczucia, poetyckiego nastroju! przyjrzyjcie się jak mi się nie chce pisać, a jednakże jak to pisane!”

Nawet odczyty publiczne pozamierały, niewiadomo kiedy. Mnóstwo było zapowiedzianych ale nie doszły do skutku. Czy zbyt długa zima, chłody, słoty, wzrastająca drożyzna, zapowiedzi bardzo złych zbiorów spowodowały taki wstręt do umysłowych rozrywek?

Całe zajęcie zwróciło się ku teatrowi. Jak w swoim czasie donosiłem, poprzednia dyrekcya doprowadziła lwowską scenę do ostatecznego upadku, oddaliwszy dla oszczędności wszystkie, prawie bez wyjątku, pierwsze siły, figurantami, statystami i chórzystami obsadzały najgłówniejsze role w komedyi, dramacie a nawet i tragedyi. Ściągano do teatru operetkami tylko publiczność o zepsutym smaku, dawano mizerne, płaskie i mało przyzwoite farsy. Opinia publiczna domagała się energicznie zmiany stanu rzeczy i p. Dobrzański objął na nowo dyrekcyę. W krótkim czasie zgromadził rozproszonych artystów, postarał się o nowe siły i w bogatym istotnie składzie tak stanął wobec publiczności, że grymasząca i grymaśna z zasady nasza niby arystokracya tłumem zaczęła napełniać skarbkowską salę.

Urozmaicony repertuar, w którym i prawdziwie poważne rzeczy miejsce znalazły, sprawił, iż pomimo gorąca publiczność wygłodzona przez lat parę, z przyjemnością teatr nawiedza. Sezon się kończy, operetka jedzie do Krakowa, część personelu komedyi na letnie miesiące osiada w Krynicy, reszta będzie dźwigać ciężar przedstawień. Tak więc lwowska scena i na prowincyę rozszerza swoją działalność. Po energii p. Dobrzańskiego spodziewać się możemy, że w zimie przyszłej ujrzemy to wszystko, co literatura dramatyczna posiada najlepszego. Opera także przywrócona będzie, przyjeżdżał tu właśnie Wł. Żeleński i umówił się już z dyrekcyą o wystawienie swojej opery „Konrad Wallenrod”. Przez dwa dni grał ją zebranym artystom i znawcom, których zachwycił znakomitą fakturą, świeżością i oryginalnością pomysłów i niewyczerpanem bogactwem melodyi. Żeby wystawienie tego dzieła było jak najsumienniejszem, sam kompozytor zjedzie tu na miesiąc i kierować będzie studyami i próbami. Pierwsze przedstawienie ma się odbyć w grudniu. Do dyrekcyi należy zebrać odpowiednie siły wokalne, których, dzięki Bogu, teraz nam nie brak.

Komitety jubileuszowe odsieczy Wiednia gorliwie pracują tak w Krakowie jak i Lwowie. Przedewszystkiem postanowiono użyć różnych dróg, aby nie dopuścić do zatarcia roli Sobieskiego, do czego dążą wdzięczni Wiedeńczycy. Nietylko w pomnikach i uroczystości samej chcą wysunąć Niemców na pierwsze miejsce a Sobieskiemu ledwie szary koniec zostawić, ale przygotowują publiczność pismami, w których fałszują dzieje, przekręcają fakta, wojnę wypowiadają dokumentom i naocznym świadkom. W zaciekłości germańskiej przeciw żywiołowi słowiańskiemu stracili wszelką wiarę, wszelkie uczucie sprawiedliwości a nawet prostej uczciwości. Postanowił przeto komitet ogłosić broszurę w kilku językach, w której na autentycznych dokumentach i świadectwach samychże Niemców, już to historyków, już to naocznych świadków oparte opowiadanie ma wyka-

zać właściwą rolę Sobieskiego. We Lwowie ma stanąć pomnik i Rada Miejska już rozpoczęła działanie, aby zgromadzić środki, wybrać miejsce i t. d. Nim rzecz jednak przyjdzie do skutku, ustawiony będzie tymczasem pamiątkowy kamień na Wysokim Zamku. Uchwalono starać się, aby IV gimnazyum we Lwowie zostało nazwane gimn. Sobieskiego. Postanowiono w zasadzie dążyć do zakupna w Żółkwi ruin z zamku, z zamiarem umieszczenia po odnowieniu jakiego zakładu naukowego. Nakoniec wybity będzie medal pamiątkowy, którego wykonanie będzie powierzone panu Malinowskiemu z Monachium. Wszystkie zaś gminy, w których Sobieski pozostawił ślady swego życia, czy to zwycięztwami, czy fundacyami, czy dłuższym pobytem obchodzić będą uroczyście rocznicę i w odpowiednich miejscach ustawią kamienie pamiątkowe.

Należałoby wspomnieć o wyścigach konnych, które w pewnych sferach żywe budzą zajęcie, a które w tym roku lepiej się powiodły niż w ostatnich latach.

Więcej wyprowadzono koni na tor wyścigowy, zjazd był większy a nawet i udział publiczności znaczniejszy. Ponieważ jednak nie mogę nabyć tej wiary, żeby wyścigi miały jaką użyteczność prócz rozrywki dla kilku bogatych osób, mających zbyt wiele pieniędzy i czasu, zaznaczam tylko, że jak dla sprawozdawcy mają one o tyle znaczenie, iż są ogólnem hasłem dla szczęśliwych tego świata do tłumnego opuszczania naszej stolicy. Istotnie w kilka dni opustoszało miasto i według utartego wyrażenia — we Lwowie nie ma już nikogo.

Innym objawem zbliżającej się ogórkowej pory są popisy muzyczne. Dwie mamy wielkie szkoły konserwatoryum pod kierunkiem pana Mikulego i szkołę p. Marka. Obie instytucye urządzają corocznie popisy trwające po dni kilka. Szczęście, że panują teraz dojmujące zimna, można więc bez apoplekcyi wytrzymać potop muzykalny.

Żart na stronę, pomimo wielkiej jednostronności, jaka panuje w naszem *konserwatoryum muzycznem*, bo jedynie fortepian uprawiany bywa, w stopniu ukształcenia muzykalnego Lwowa, olbrzymi widać postęp. Trudno zaprzeczyć, że działalność takiego artysty jak p. Mikuli, choć jako dyrektor krzywdzi inne instrumenta, doprowadziła w mieście grę fortepianową do wysokiego stopnia. Dyletantów i dyletantek grających jest tyle, że popisy wyższych klass konserwatoryum za istotne koncerty poczytywać należy, amatorskie zaś poranki lub wieczory muzykalne nie ustępują w niczem artystycznym popisom wirtuozów z powołania. Rywalizujący z p. Mikulim, acz o całe niebo sztuki niżej stojący, p. Marek założył szkołę fortepianu i śpiewu i sili się równorzędne z pierwszym zająć stanowisko. Może ten i ów uczeń źle na tem wychodzi, bo p. Marek stara się przedewszystkiem popisywać techniką hałaśliwą, efektowną, olśniewającą, sztuka u niego schodzi do sztuczki, co niejednego ucznia spycha z prawdziwie artystycznej drogi, ogół niemniej korzysta, bo zamiłowanie do sztuki wzrasta, porównanie dwóch szkół wyrabia smak, rywalizacya ich rozszerza coraz dalej uprawę muzyki i wciąga coraz większe koła publiczności. To też we Lwowie lada jaki wirtuoz nie może się pokazać, bo znalazłby bardzo wiele osób, któreby równie dobrze a nawet lepiej od niego zagrały. Trzeba być pierwszorzędnym artystą, albo do nas nie zaglądać.

Mamy tu jeszcze wystawę obrazów Jacka Malczewskiego ucznia Matejki z Krakowa. Nie wszystkie jednakiej są wartości, choć pod względem podziwu godnej techniki stoją na równi z pierwszorzędnemi arcydziełami naszych czasów. Realizm wprawdzie góruje, ale nie przekracza granic smaku. Malarze twierdzą iż sam Matejko co do wykonania technicznego nic więcej daćby nie mógł.

Za to kompozycya po większej części mocno szwankuje. Na dwóch obrazach jest to uderzające, przepysznie malowane osoby stoją wprawdzie nie daleko od siebie, ale nic ich nie łączy, ani wiąże. Np. w *Anhelim* Else leży umarła czy umierająca. U jej stóp siedzi trzymając książkę Anhelli. Rogóżki, futra, siano, wszystkie szczegóły malowane z dziwną pewnością i niesłychaną prawdą, ale tam nic się nie dzieje. Są to dwie obce sobie figury, tylko tyle, że na jednem malowane płótnie.

Możnaby je rozciąć i otrzymanoby dwa obrazy również mało mające dramatycznego interesu.

Bez objaśnienia szczegółowego nikt obrazu zrozumieć nie jest wstanie, choćby Anhellego umiał na pamięć. Trzeci obraz *odpoczynek* odznacza się szczęśliwem ugrupowaniem. Bardzo wiele figur związanych jedną myślą artysty i wyrażających całą gammę uczuć boleści i tęsknoty od twarzy przejętej śród okropności życia nadzieją lepszej przyszłości do głów malujących wszelkie stopnie rozpaczy, nareszcie zobojętnienia równającego się śmierci. Siła wyrazu potężna, przykuwa do obrazu i grozą kilkunastu wewnętrznych dramatów w łonie tych ludzi rozgrywających się jednocześnie uderza naraz widza, rozdziera mu serce, przeraża, osmuca, roztkliwia nareszcie i do łez przywodzi.

Dodano nowy portret Andrzeja Grabowskiego, który już dawno nic podobnego nie stworzył. Dziwna rzecz, jakie ten malarz ma skoki. Po olśniewającym występie i kilku arcydziełach zaczęły się alternatywy dzieł istotnego mistrza z płótnami malowanemi aby zbyć, z prawdziwem niedbalstwem. Portretem o którym mówimy, stanął znów Andrzej Grabowski na dawnem stanowisku, stanowisku pierwszego polskiego portrecisty. Jeżeli portret ma być obrazem duszy człowieka od danym w jego cielesnej powłoce, jeżeli przy podobieństwie rysów, artysta ma uwięzić na płótnie życie duchowe, kazać krwi krążyć, bić sercu, drgać mięśniom, patrzeć oczom, Grabowski wszystkiego tego dokazał, dowodząc zarazem, że i techniką nikomu wyprzedzić się nie da.

Dobrze uczyniłaby Warszawa, starając się o wystawienie tego portretu (hr. Baworowskiego), bo takie arcydzieło spotkać bardzo trudno.

POGADANKA.

Miły sezon upałów tropikowych już jest w pełni. Powietrze rozpalone, duszne, zieleń drzew okryta kurzem, wszystko zda się skazane na wypalenie. Kogo spotkasz na ulicy, zaczyna rozmowę:

— A, jakie gorąco!

— Co za upały!

— Nie do wytrzymania.

— A jeszcze ten Egipt...

— Trzeba z Warszawy uciekać!

I rzeczywiście co dnia nasz gród Syreni pustoszy, a i te resztki, które w nim pozostały, ledwo się ruszają. Nawet w ogrodach pusto, bo sam widok zielonych liści i różnobarwnych kwiatów nie przynosi ochłody.

Warszawa wyludniona, lecz za to letnie mieszkania i miejsca kąpielowe pełne ruchu i życia. Choć i tam to samo słońce świeci i grzeje, przecież wydaje się chłodniej. Przedewszystkiem powietrza jest tam poddostatkiem. Więc chwyta je pełnemi piersiami, oddaje się rozkosznej wilegiaturze i ani wspomni o tych samotnikach, pozostałych w Warszawie.

W letniej emigracyi znajdujemy jeden z wielu dowodów męzkiej galanteryi i względność dla płci nadobnej. Najuboższy mąż, przykuty do całorocznej pracy w mieście, nie pozwala sobie nawet marzyć o wyjeździe na wieś, a chociażby tylko do Mokotowa, lecz za to od ukazania się pierwszego promyka słońca myśli o wysłaniu żony i dzieci. To też na letnich mieszkaniach najwięcej jest kobiet, w mieście widzimy samotnie snujących się mężów — zwanych w tym sezonie słomianymi wdowcami.

Życie publiczne i towarzyskie zamiera, o wieczorach i przyjęciach nie ma nawet mowy, bo niepodobnaby wyżyć w duszniejszej atmosferze. Kto tylko ma piędź ziemi, kawałek drzewka i cień cieniu, ucieka z pokoju. Życie domowe znika, ustępując miejsca życiu ogrodowemu...

Paryżanie, którzy lubią towarzystwo niezmiernie, bo do życia odosobnionego nie są stworzeni, znaleźli sposób bawienia się w liczniejszych zebraniach — w ogrodach. Właściwemi twórczyniami tych zabaw i przyjęć są Paryżanki, owe niezrównane w pomysłach częstych — a nietrwałych.

Znudzone atmosferą salonów, pełnych blasku i zbytków, rzuciły się w drugą ostateczność — do prostoty. Wskrzesiły sielanki francuzkie z XVIII wieku, owe piękne, fantastyczne wieczory dworu w Trianon i St. Cloud.

Toalety skromne, wiejskie są *de rigueur* perkalikowa sukienka i słomkowa pasterka. Ogród zaopatrzony w sprzęty *rustique*, służba w kostiumach, jakie dziś rzadko się spotykają w starych oberżach francuzkich.

W pośród takiego otoczenia i przyjęcia są proste — mleko, świeże owoce i t. p. stanowią zastawę. Przechadzki, huśtawki, loteryjka, strzelanie do celu — oto rozrywki, jakich się używa na tych sielankowych przyjęciach.

Moda oryginalna — czy trwała? To inna rzecz, Francuzi, a bardziej jeszcze Francuzki słyną z kaprysów. Dziś to, jutro co innego im się podoba. Ustaną wielkie upały — zostanie tylko wspomnienie owej robinsonady — potem wymyślą znów coś innego. W zakresie życia towarzyskiego i mód, kapryśność ta jest najwidoczniejsza.

Angielki są nieco stalsze — lecz bardziej ekscentryczne. Zawsze wpadają w ostateczność. Albo przestrzegają ściśle form utartych, mających niemal znaczenie prawa i wtedy wszystko co jest inne nazywa się *shocing*, lub też posuwają lekceważenie form do możliwych granic ostateczności.

Jeden z korespondentów opisuje, że widział Angielkę w takim kostiumie, który mu przypomniał oranżeryę. Z przodu były kwiaty i rośliny egzotycznie zwieszające się, niby gęstwina gałęzi... a z pośród nich wyglądała klatka z zieloną papugą. Coraz bardziej w modę wchodząca *crinolette* ułożona była w drobne fałdziki z mchu i — truskawek!

I to nie wymysł opisującego, lecz fakt rzeczywisty. Nie stanowi on epoki w historyi mody — lecz niemniej jest ciekawym.

Jako fejletonista „Tygodnika Mód”, muszę czasem wspomnieć o modach — a piękne Czytelniczki nie wezmą mi tego za złe. Owszem, spodziewam się, że rade będą temu.

Więc wspomnę tu jeszcze, że lady Haberton, przeciwniczka krynolin, której zrazu chciałem ofiarować pomoc, dopóki nie zdradziła swych zamiarów wprowadzenia w modę kostiumów—wschodnich, nie ustaje w propagandzie. Zwolenniczki jej nie ukazują się wprawdzie jeszcze na ulicach w owych strojach — lecz w domach przyjmują już w nich wizyty i rewizytują. Chęć oryginalności, choćby bez sensu pcha te panie na dziwaczną drogę. Śmiało wszakże możemy liczyć na niestałość ich w tych fantazyach modnych.

Na balu, lub nawet raucie tylko, nie ukaże się żadna z nich inaczej, jak w sukni od *Wortha.*

Wspomniałem już o owym mistrzu, krawcu artyście. Dziś podam Czytelniczkom sylwetkę znalezioną w piśmie poświęconem modom *The Queen.*

W przepysznie urządzonym salonie, którego zbytek wskazywałby raczej na pałac książęcy, aniżeli pokój krawca, siedzi Worth w wygodnym fotelu i z miną artysty przygląda się nowej sukni, którą przymierza księżna X.

— Wasza wysokość raczy podnieść głowę i przejść majestatycznie od tamtej kozetki do balkonu... Panno Matyldo — mówi dalej, do jednej z pracownic — wziąć dwa cale z pod lewego ramienia... Dobrze!

— Wasza wysokość raczy wykonać *une révérence royale.* Panno Nini, spuścić dziesięć centymetrów z trzeciego brytu powłoki... Dobrze!

I tak dalej.

Suknia od Wortha musi być piękną. Niktby się nie poważył skrytykować jej, bo Worth nie robi dla byle kogo. Trzeba wielkiej protekcyi, ażeby się dostać do jego magazynu. Nowych klientów przyjmuje z trudnością, bo i tak ledwo może nastarczyć zamówieniom.

Udaje się wreszcie komuś dostać do wielkiego augura. Czeka w salonie na ukazanie się sławnego, znakomitego, niezrównanego mistrza.

Wchodzi, wita, zapytuje...

— Życzyłabym sobie suknię adamaszkową *bordeaux...*

— Nie — odpowiada artysta — pani będziesz miała suknię w kolorze *bleu éléctrique*, pani nie możesz nosić koloru *bordeaux...*

Nie ma protestu. Wielki augur jest nieomylnym, jego wyrok przyjmuję się z pokorą i zdaniem na jego wolę, czy fantazyę artystyczną.

Podobno z tej przewagi nie wyemancypują się paryzkie elegantki — owszem, ulegają jej chętnie.

Lecz proszę nie sądzić, że paryżanki skłaniają się ku niewoli, kobiety to pełne energii i samodzielności, na innem polu umieją dowieść, że znają swe prawa i że dobijają się ich wytrwale. Nie unikają pracy, bo ta im tylko zaszczyt przynosi. Pracują w najrozmaitszych instytucyach, a ciągle dążą do rozszerzenia swej działalności. Może im jeszcze doda bodźca najnowszy fakt z dziejów kobiety w Ameryce. Oto pani Stevenson, wdowa po dyrektorze banku w Marion, została obecnie sama dyrektorką...

I niechże kto powie, że kobietom źle na świecie! Rugują nas ze wszystkich stanowisk — pracą. Za tak szlachetną konkurencyę dank im się należy. Będziemy pracowali wspólnie i na prześcigi — a pewno będzie dobrze.

Może nie mało gorliwości będziemy im zawdzięczali. Wszakże wyprzedzić się nie damy!

Tylko niech się panie nie łączą z aeronautami, bo ci gnani żądzą wiedzy, pędzą w krainę chmur na pewną zgubę. Nie jestem wrogiem wynalazków i odkryć — lecz żalby mi było, gdyby która z przedstawicielek płci nadobnej uległa nadpowietrznej katastrofie.

Ot np. co się stało w Ameryce. Aeronauta L. Stewart, żądny wrażeń, czy też nowych badań, puścił się balonem w górne strefy i — na wysokości 2,000 stóp spalił się wraz z balonem. Nie odstrasza to innych. Francuzi ciągle myślą o przedostaniu się do Anglii po nad kanał Kaletański. Kilka katastrof w podobnych przedsięwzięciach nie odstręczyło nikogo, owszem stało się bodźcem do nowych prób.

Życzymy szczęścia śmiałkom.

Es. Zet.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pan Józef Boguski, prof. nauk przyrodzonych, znany ze swych prac naukowych, w tych dniach w kilku fabrykach tutejszych przeprowadził szereg doświadczeń, których rezultatem było otrzymanie w zupełnie nowy sposób glinu, czyli aluminium.

Dotychczas otrzymanie tego metalu było bardzo kosztownem, a sposób wynaleziony przez pana Boguskiego, o ile sądzić można z pierwszych prób, uwieńczonych zupełnem powodzeniem, pozwoli otrzymywać ten piękny metal niesłychanie tanio.

Odkrycię to może mieć w praktyce nader szerokie zastosowanie — co się okaże po całym szeregu prób technicznych, które p. Boguski zamierza przeprowadzić na szeroką skalę.

*** Pan Ryszard Andrée wydał niedawno w Lipsku Atlas, którego zaletą jest, iż obejmuje objaśnienia stanowiące rodzaj podręcznika geograficznego, pouczającego zarazem o stosunkach naukowych, militarnych, handlowych i przemysłowych rozmaitych krajów. Obok tego włączone są mappy wielu pojedyńczych narodowości, bez zbytniego uwzględnienia granic politycznych. Oto dobra strona wydawnictwa. Lecz komu tylko jeografia nie jest zupełnie obcą, uderza go gorąca żądza germanizowania, choćby na papierze okolic i miast innych narodowości. Pomijając już mapę przedstawiającą kraje polskie należące do Prus i pogranicza Polski, w których *nie ma ani jednego miasta polskiego*, dziwnie naciąganą jest i mapa Austryi a szczególniej Galicyi wschodniej, gdzie podane jest, że w kraju zamieszkanym przez Rumunów jest około 50 kolonii niemieckich, obok tylko 15 polskich, chociaż objaśnienia tyczące się Galicyi wykazują, że ludność wschodniej części tego kraju składa się z 67% Rusinów, 20% Polaków, 2% Niemców i 11% Żydów. Nadto dowiadujemy się, że nietylko Kraków i Lwów ale Peszt, Praga a nawet Bruksella są miastami czysto niemieckiemi!!! Bodaj to wytrawna uczoność i sumienność niemiecka!

*** W przeciw-stawieniu pismakom niemieckim, prawiącym uparcie o niższości cywilizacyi polskiej, podajemy ustęp z dzieła historyka niemieckiego Jana Janssen'a „Dzieje narodu niemieckiego” w którem tak mówi o Marchii Brandeburskiej z początku XIII wieku. „Marchia Brandeburska ze stolicą swą Berlinem, miała jeszcze mało styczności z niemiecką oświatą i znajdowała się na niższym stopniu rozwoju. Oto co mówi elektor Joachim w piśmie swem powołującem do założenia uniwersytetu frankfurckiego nad Odrą, w r. 1503. „Znakomity człowiek naukowo, jest w moim kraju taką rzadkością jak biały kruk”, a jeszcze ojciec tego elektora powiedział: „Nie ma kraju w całych Niemczech, w którymby było więcej kłótni, morderstw i okrucieństw niż w naszej Marchii.” Dalej opat Fritenius von Sponheim, przebywający długo na brandeburskim dworze, pisze dnia 20 października 1505 r. do jednego z przyjaciół: „Rzadko spotkać tu można człowieka okazującego jakieś zajęcie się naukami, w braku wychowania i przyzwoitości towarzyskiej, lubują się tu w obżarstwie, pijaństwie i próżniactwie.” Dopiero w r. 1539 pierwszy drukarz osiedlił się w Berlinie, a od tego czasu upłynęło jeszcze lat 120, zanim założoną tam została pierwsza księgarnia.” Oto obraz skreślony ręką niemieckiego historyka. Zobaczmy jak wtenczas wyglądał Kraków. Przeszło o sto lat pierwej miał już swój uniwersytet Jagielloński, okazały dwór, świetne, wysoko oświecone społeczeństwo, którego zamożniejsza młodzież we Włoszech, Francyi, na różnych uniwersytetach i we własnej „Alma mater”. W murach jego gościli znakomici humaniści owocześni, a między nimi Włoch Filip Callisnachi i Norymberczyk Konrad Celtes. A Polak Kopernik, owa pierwszorzędna gwiazda wiedzy ludzkiej, nie potrzebował szukać nauki w pośród społeczeństwa, któremu własny historyk wystawił powyższe świadectwo.

*** W żeńskiej szkole medycznej w Londynie, wiele studentek otrzymały nagrody. Szkoła ta liczy obecnie 40 słuchaczek, których utrzymanie i studya kosztują rocznie około 3,000 funt. szterl. Summę tę pokrywają składki i ofiary osób prywatnych. Doświadczenie lat ostatnich przekonało, że kobiety lekarze stoją zupełnie na wysokości powołania lekarza i zyskują sobie obszerną praktykę, zwłaszcza w chorobach dzieci i kobiet. Szczególniej poszukiwane są w Indyach wschodnich, niedawno w krótkim przeciągu czasu złożono 40,000 rupij na pierwsze koszta utworzenia zakładu, w którym kobiety kształcić się mają na lekarzy.

*** Dnia 2 b. m. odbył się w Wiedniu meeting kobiecy, w którym brały udział nauczycielki licznych zakładów naukowych, protestujące przeciw paragrafowi statutu stanowiącego, iż tylko w braku odpowiednich mężczyzn, kobiety mogą być mianowane nauczycielkami. Debaty były bardzo ożywione i należy się spodziewać, że słuszne domaganie się jego uczestniczek zostanie uwzględnione.

*** Fatalizm jakiś ściga wszystkich prawie monarchów i pretendentów do tronu francuzkiego w bieżącem stuleciu — wszyscy smutną kończą śmiercią. Ludwik XVI zginął na gilotynie, Ludwik XVII zakończył życie w więzieniu, Napoleon I umarł na wyspie św. Heleny, Napoleon II zdała od rodzinnej ziemi w Schönbrun, Ludwik-Filip w Holy-Rood, Napoleon III w Chiselshurst, Napoleon IV w kraju Zulusów, hrabia Chambord dogorywa na obczyźnie...

*** Z rozkazu Ojca św. Leona XIII obchodzono bardzo uroczyście trzechsetletnią rocznicę za-

prowadzenia nowego kalendarza, przez Grzegorza XIII, z rodu Buoncompagni'ch. Obchód odbył się w świeżo odnowionym kosciele „San Lorenzo e Damaso” zamienionym (po wyniesieniu Przenajświętszego Sakramentu) w salę akademicką, przystrojoną w kwiaty, odpowiednie napisy łacińskie i oświetloną lampami elektrycznemi roztaczającemi wspaniałe światło na całe wnętrze kościoła. Przed wielkim ołtarzem postawiono posąg Grzegorza XIII, dalej wznosiły się trybuny zajęte przez członków płci obojej trzech połączonych akademii papiezkich: „Arkadyi”, „Tiberyni” (Akademii Tybru) i „Nuovi Lincei” (Nowych Ostrowidzów), oraz przez muzykantów, śpiewaków i śpiewaczki. Przed trybunami urządzony był rodzaj amfiteatru dla przewodniczących w trzech akademiach duchownych i świeckich i stały stoły czerwonem suknem pokryte dla prezesów i sekretarzy. Kosze i klomby i najpiękniejszych kwiatów przeplatały siedzenia widzów. Poniżej stały rzędy złocistych czerwonych aksamitnych foteli dla kardynałów i ambasadorów, za nimi krzesła także czerwonym aksamitem pokryte, ale bez złoceń, dla biskupów, prałatów, książąt i księżen rzymskich. Do tej części kościoła wchodziło się bocznemi drzwiami, inne pozostawione były dla nader licznych widzów, przybywających za biletami.

Najpierw orkiestra umieszczona po nad wielkim ołtarzem, wykonała „Ciszę Morską” Mendelsohn'a, poczem „accademia” rozpoczęła się odczytem uczonego kardynała Alimondi o Grzegorzu XIII i reformie kalendarza. Po skończeniu go, wykonano oratoryum Haydn'a „Stworzenie świata” a wykonano po mistrzowsku, przez cudownie piękne głosy męzkie i kobiece. Następnie deklamowano poezye o zmianie kalendarza, a zakończył obchód drugi odczyt, wypowiedziany przez O. Stanisława Ferrari'ego, astronoma i socyusza zmarłego O. Secchi, w którym uczony ten tłomaczył różnicę między Juliańskiem a Gregoriańskiem kalendarzem.

*** Profesor Antoni Rosenthal, rodem z Krakowa, wydaje w Tryeście dziennik poliglotyczny p. t. „Giornale di lingue straniere” w którym mieścić się będą artykuły w językach: francuzkim, niemieckim angielskim, hiszpańskim, węgierskim, holenderskim, szwedzkim, tureckim, polskim i w innych słowiańskich. W numerze drugim tegoż dziennika znajduje się artykuł pana Rosenthala, w którym jest mowa o kardynale hr. Ledóchowskim, arcybiskupie Felińskim, a w końcu z okoliczności nadchodzącej 200 rocznicy wyswobodzenia Wiednia przez Jana Sobieskiego, autor nadmienia, że Polacy należący obecnie do głównych filarów dynastyi habsburskiej, mają jeszcze przed sobą niejedną ważną misyę do spełnienia.

*** Około 150 kobiet pracuje w Paryżu w Banku francuzkim. Zajęte są niszczeniem wycofanych z obiegu banknocetli, oraz odcinaniem kuponów. Pracują w banku od 9 rano do 4 po południu i pobierają po 150 fr. miesięcznej pensyi. Jeźli zachodzi potrzeba pracowania po za obowiązkowemi godzinami, otrzymują oddzielne dodatkowe wynagrodzenie.

*** Statystyka bibliograficzna wykazuje, że stosunkowo do liczby ludności, najwięcej książek wychodzi we Francyi. Z kolei następuje Anglia, potem Hollandya, Dania, Norwegia — a czwartemi z kolei są Polska i Szwecya. Niemcom szóste dopiero przypada miejsce.

*** Misyonarze katoliccy w Południowej Ameryce, zamierzają wybudować z pomocą biskupa z Amazonas i Para — pływającą katedrę, która-by płynąc tam i napowrót wzdłuż Amazonki, czyniła zadość religijnym potrzebom nadbrzeżnych mieszkańców. Najznakomitsi architekci europejscy, zostaną zawezwani do nadesłania planów tej oryginalnej budowli, mającej składać się ze świątyni i plebanii. Katedra ma być poświęcona św. Krzysztofowi, który, według legendy, przeniósł przez wodę Dzieciątko Jezus.

*** Jednym z najciekawszych przedmiotów na przyszłej Wystawie w Nicei, będzie bez zaprzeczenia Obserwatoryum podmorskie. Aparat ten wynaleziony przez pana Tosselli, zbudowany ma być ze szkła, stali i spiżu, tak aby mógł się oprzeć naciskowi wody na głębokości 120 metrów. Obserwatoryum podmorskie mieć będzie ośm metrów wysokości i podzielone zostanie na trzy przedziały czyli piętra. Górne służyć ma dla komendanta, który kierować będzie spuszczaniem i ruchem przyrządu, oraz zawiadamiać podróżnych o przebieżonej głębokości i zarazem objaśniać wszystko co się da widzieć w głębi morza. Na drugiem piętrze będzie mogło pomieścić się wygodnie ośmiu podróżnych.

Ponieważ na głębokość 70 metrów panuje niemal zupełnie ciemność, obserwatoryum ma być zaopatrzonem w potężne słońce elektryczne, rzucające promienie na znaczną do koła rozległość i oświetlać otchłanie do których światło dzienne nigdy nie dochodzi.

Podróżni mieć będą do rozporządzenia telefon, za pomocą którego będą mogli porozumiewać się z pozostałymi na pokładzie statku parowego, wlokącego pod sobą i przewożącego owo obserwatoryum. Pierwsze wycieczki odbywać się mają po nicejskich podmorskich okolicach, uznanych za nader ciekawe do zbadania. Oprócz tego pasażerowie będą mogli korzystać z przyrządu telegraficznego, znajdującego się w obserwatoryum i przesyłać telegramy dające sprawozdania z wrażeń doznawanych w tej nadzwyczajnej podróży. W oddziale trzecim, pod pasażerami, umieszczony będzie przyrząd, dozwalający zwiększać lub zmniejszać ciężar obserwatoryum, ułatwiający tym sposobem jego podnoszenie się lub opuszczanie na dół. Jeźliby podwodne to obserwatoryum odpowiedziało obietnicom wynalazcy, zamierzona wyprawa amerykańska po skarby zatonione na wozach Faraona i francuzka po miliony hiszpańskie, które zatonęły w przeszłem stuleciu, mogłyby mieć za sobą pewne szanse powodzenia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Ignacemu S. Wierszyki p. t. Powitanie rodzinnego kraju i Do nieba nie mogą być zamieszczone w Tygodniku.

Autorowi utworowi p. t. Historya miłości. Z pracy tej nie możemy korzystać.

Panu Wł. B. Wierszyk do dziewczęcia będzie ogłoszoną, ale lepiej byłby jeszcze wyszedł gdyby był cały rymowany. Połowicznej tej formy należy unikać.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Іюля 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład **J. B.**

(Dalszy ciąg.)

Panna Rajmunda przestawszy czytać wlepiła oczy w herby Lizardière'ów umieszczone po nad ogromnym kominem, gdy w tem wszedł służący meldując:

— Pani hrabina de Chazé... pan margrabia de Lizardière.

Panna Rajmunda drgnęła lekko, uspokoiła się jednak niebawem i spokojna uśmiechnięta pobiegła naprzeciw hrabiny i towarzyszącego jej kuzyna.

— Jakkolwiek o tyle starsza od ciebie, panno Rajmundo, jednakże pierwsza przybywam cię powitać. Jednak tak ja, jak kuzyn mój nie przyjeżdżamy jedynie z wizytą, ale i w ważnej sprawie, kuzyn mój ma wielką do pani prośbę, którą ja popieram z całej duszy.

— Zgadzam się najchętniej jeźli tylko nie jest czemś niemożebnem. Ludzie sławni mają wielkie przywileje a między nimi i ten że żądając przysługi wyświadczają zaszczyt.

— Ja rzeczywiście chcę prosić panią o wielką, nader ważną dla mnie przysługę, rzekł Jan.

— Słucham, mów pan prędzej, odrzekła bardzo zaintrygowana.

— Wiadomo pani, że wbrew mej woli, a pojmujesz jak bolesnem było dla mnie przejście w obce ręce kolebki moich naddziadów. Szczęściem Lizardiére dostała się w ręce pani; otóż błagam cię zwróć mi ją, odprzedaj za cenę jaką odpowiednią uznasz.

Rajmunda zbladła, długo wpatrywała się w Jana, poczem odrzekła niemal szorstko:

— To niepodobna, panie margrabio.

— Dlaczego? cóż panią może wiązać z domem, z którem, żadne nie łączą się wspomnienia.

— Tak pan sądzisz, i zapewnie masz słuszność, ale obok wspomnień jakie żywiemy w sercu, mamy jeszcze upodobania, zamiłowania i nawyknienia. Polubiłam bardzo ten stary gmach, który gdyby nie ja, byłby się już może rozsypał w gruzy—pozwól więc mi pan w nim pozostać. Gdy Lizardiére była własnością pana nie chciałeś mi jej sprzedać, dziś należy do mnie i pragnę ją zatrzymać.

— Tak, prawnie Lizardiére należy do pani, ale śmiem powiedzieć, że moralnie należy do mnie. Jedynie dla odkupienia jej pracowałem tak wytrwale, przepędzałem dnie i noce miotany naprzemian nadzieją i obawą. Zwróć mi pani Lizardiére jeźli jesteś dobrą i sprawiedliwą, wszak nic na tem nie stracisz. Te mury i herby moich naddziadów, te groby w których spoczywają ich śmiertelne szczątki, niczem nie wiążą się z sercem pani, dla mnie przeciwnie, droższe są nad życie... Już od roku przeszło grób matki mojej pozbawiony jest bukietów z dzikich i polnych kwiatów — oddaj mi pani tę ukochaną mogiłę.

Rajmunda zawahała się na chwilę; spojrzała znów na Jana a po chwili rzekła głuchym głosem.

— Nie!

— Godność moja nie dozwala mi nalegać dłużej, odchodzę więc... Są smutki któremi dotknięci szukamy samotności. Zostawiam panią z moją kuzynką; powrócę do Marcilly przez wzgórza, z tamtąd po raz ostatni spojrzę na ten dom tak mi drogi, po raz ostatni odetchnę powietrzem tej mniejszej ojczyzny mojej...

To powiedziawszy pożegnał pannę Désormes lodowatym ukłonem i wyszedł.

Rajmunda czas jakiś ścigała go wzrokiem; gdy znikł jej z oczu milcząc chwyciła za rękę hrabinę de Chazé i gwałtem prawie pociągnąwszy za sobą, zeszła z nią nadół i otworzywszy drzwi kapliczki, skinieniem wskazała jej grobowiec matki Jana, margrabiny de Lizardière.

Po nad płytą grobową płonęła lampka złocona, drgającem światłem, a na marmurze leżał świeży bukiet z kwiatów polnych i piękny wieniec z nieśmiertelników.

Nie puszczając ręki hrabiny, Rajmunda stała chwilę zapatrzona w grobowiec i kwiaty; poczem opuściwszy głowę na ramię Krystyny, głośnym zaniosła się płaczem.

Krystyna objęła ją ramieniem i pocałowała w czoło, poczem wzniosła ku niebu swe łzami zroszone oczy, a gdy łkanie Rajmundy w cichy płacz się zamieniło, szepnęła jej:

— Więc go kochasz?

— Tak, pani.

— Od jak dawna?

— Od pierwszej chwili poznania... Ale on! on!.. och! czuje że mnie nienawidzi...

— Nie, moje dziecię, tylko nie pojmujecie się jeszcze wzajemnie...

— I tak będzie zawsze! zawsze!..

I znowu rzewnie płakać zaczęła. Krystyna patrzyła na nią milcząc i porozumiewając się jednocześnie z własnemi myślami.

— Uspokój się, rzekła nareszcie przyciskając ją do serca... nie płacz śliczna moja blondynko i posłuchaj mnie. Nie jestem jeszcze w tym wieku, abyś mnie uważała za matkę, ale jeźli chcesz. stanę się dla ciebie starszą siostrą i będę udzielać ci rad dobrych i zbawiennych.

— O błagam panią o to... choć, niestety! nie zmieni to stanu rzeczy.

— Mylisz się, moje dziecię, nie zaszło przecie nic coby na zawsze rozłączyło cię z Janem, lepiej nawet że dziś nastąpiło starcie się waszych charakterów, niż gdyby to miało miejsce później. Jan ma swoje wady, a największą z nich jest bezmierna pycha rodowa — jak dotąd tak i nadal starać się będę wszelkiemi sposobami aby go z niej uleczyć, i ty nie jesteś od nich wolną, ale jeźli tylko zechcesz, z wielką łatwością możesz się ich pozbyć.

— Ach! wskazuj mi pani tylko jak mam się wziąć do tego, a zobaczysz jak pilną będę uczennicą.

— Wierzę temu, Rajmundo, i nim rok upłynie zrobię z ciebie wzór doskonałości.

— Zaczynam poprawę, od szczerego wyznania, odrzekła Rajmunda, ktorej twarz rozpogodziła się nieco. Nie dla samego zadowolnienia chwilowej fantazyi kupiłam tę ruinę i przetworzyłam w to czem jest obecnie. Jak wyznałam pani, pokochałam Jana od pierwszego niemal wejrzenia, tak mnie uderzyła ta duma, a nawet i pycha jego w obec tak wielkiego, z nędzą graniczącego ubóstwa, jego unoszenie się i te dziwne w oczach jego migające błyskawice; jest zupełnie inny niż wszyscy młodzi ludzie jakich znałam dotąd — i podobał mi się dlatego właśnie. Zamierzałam zwrócić mu kiedyś ten dom, który, jak słusznie powiedział, moralnie do niego należy. Byłabym mu oddała Lizardière na pierwszą prośbę, na jedno jego słówko, jedno spojrzenie, myślałam jednak w głębi serca że może zaledwie wszedłszy do domu swego, nie zażąda abym go zaraz opuściła, miałam nadzieję że dusza moja jego duszę pociągnie ku sobie, bo przecież... mówią że jestem ładna.

— Bardzo ładna jesteś, Rajmundo.

— Otóż pomijając to marzenie mego serca, byłabym dziś zadośćuczyniła jego prośbie, gdyby mi ją wyraził inaczej. Ale w słowach jego czułam ukrytą pogardę, w spojrzeniu szorstkość i lekceważenie— i przyznaję oburzyło mnie to żywo. Nie pochodzę ze znakomitego rodu niebieska krew nie płynie w moich żyłach, ale sądzę że nie mniej od niej warta poczciwa czerwona krew mieszczańska. Wstrząsnęłam się pod tą niemą zniewagą i z niewymownem oburzeniem zawołałam: Nie! Źle postąpiłam, chciej pani powiedzieć mu dziś jeszcze że zmieniłam postanowienie, że nie dbam już o ten pałac i może go kiedy zechce objąć w posiadanie.

— Na nic się nie przyda moje dziecę, Jan nie będzie poczuwał się do wdzięczności.

— Mniejsza o to, ale nie będzie cierpiał nad tem i przynajmniej złorzeczyć mi nie będzie.

— Lecz czyż pokocha cię za to?

— Nie, ale stanę się godniejszą kochania.

— To nie dość, trzeba żeby cię kochał. Spuść się na mnie, Rajmundo, ujęłaś mnie za serce, pragnę zarówno szczęścia Jana i twego, pragnę abyście byli szczęśliwi jedno przez drugie. Od jutra weźmiemy się do dzieła. Ja ciebie niekiedy, ty codziennie odwiedzać mnie będziesz w Marcilly; będziemy zamieniać i utożsamiać myśli i dusze nasze; jeźli jest we mnie coś dobrego, starać się będę przelać to w ciebie aby mnie odnajdywał w tobie.

— Tak, ale będę musiała spotykać się u pani z Janem, widzieć go, rozmawiać z nim, co straszną stanie się dla niego męką.

— Bądź spokojna, wiele czasu upłynie zanim go u mnie spotkasz.

— Jakto?

— Mam moje zamiary, i wierzaj mi, tak będzie najlepiej. Czyż wolałabyś znosić przykrość jaką sprawiałby ci jego widok?

— Niestety! może i tak.

— Nie wyszłoby na dobre. No, bywaj mi zdrowa, piękna uczennico, nikt nie dowie się twojej tajemnicy.

— O! wiem, że w pewne złożyłam ją ręce.

Uścisnąwszy Rajmundę, Krystyna wyszła i z powozu jeszcze rzekła do żegnającej ją:

— Odwagi i ufności, moja śliczna blondynko.

XVI.

James Abbott.

Od godziny już Jan wrócił do Zameczku. Siedział samotny w salonie smutny i znękany; natłok gorzkich myśli rozsadzał mu czoło, odtrącał nawet łaszącego mu się Klodiona, mówiąc do zadziwionego tem obejściem wiernego psa.

— Ona goi rany psa, ale jątrzy rany jego pana. W tem posłyszał głos wołającej go Krystyny.

Weszła miła uśmiechnięta jak zawsze, usiadłszy obok Jana, wskazała mu przyniesioną książkę, zapytując:

— Czy czytałeś, Janie, *Listy o Ameryce* przez Ksawerego Narmier?

— Nie, kuzynko.

— To źle. Jestto ulubiona moja książka, przed wszystkiemi warta czytania. Bądź tak dobry przeczytaj mi głośno ten rozdział.

— Ach! kuzynko, gdybyś wiedziała jak jestem smutny i znękany! Gdyby nie wy to zamiast czytać Listy o Ameryce, wolałbym sam popłynąć do niej, udać się między Czerwonoskórnych, gdzieś choćby na krańce świata!

— Widzę że łatwo nam będzie porozumieć— ale pierwej czytaj.

— Czy koniecznie?

— Tak, proszę cię o to.

I podała mu książkę wskazując stronicę; Jan zaczął czytać mocno zadziwiony szczególniejszą prośbą kuzynki.

„W roku 1829 młody jakiś cudzoziemiec przybył w okolice Niagary, z zamiarem przepędzenia tam kilku dni. Mijały jednak dnie, tygodnie miesiące, a on co rano siadał naprzeciw kaskad, wpatrując się w nie z niemem zachwyceniem, nareszcie zaczął powracać wieczorem coraz więcej zatapiając się w samotności, coraz silniej owładnięty urokiem tej czarującej miejscowości.

„Nazywał się James Abbott—ale nikt nie wiedział kto on jest i zkąd przybywa. Na pierwsze zaraz spojrzenie uderzał każdego wyraz jego fizyognomii, pańskie pełne wdzięku obejście, a kto miał sposobność choć krótko z nim rozmawiać, przekonywał się że wiele podróżował i wiele się nauczył. Ale nie łatwo było zawiązać z nim jakieś stosunki. Nie wyglądał na ponurego mizatropa, ale unikał wszelkich towarzystw i zebrań, omijał uczęszczane drogi, i był zawsze i wszędzie sam, czy to w mieszkaniu, czy na szczycie wzgórza, czy na skraju lasu.

„Odmówiono mu upoważnienia zbudowania sobie domku, na małej bezludnej wysepce zwanej wyspą Trzech Siostr, zamieszkał więc samotnie na wyspie Iris, nie trzymając nawet służącego. Sam przyrządzał swoje prawdziwie pustelnicze pożywienie, skromniejsze jeszcze, niż w najściślejszych klasztorach, życie jego odznaczało się najsurowszą moralnością. Nigdy oczy jego nie zabłysły na widok choćby najpiękniejszej kobiety, nie pociągały go najświetniejsze zabawy. Czyżby na dnie czary rozkoszy życia znalazł tak wielką gorycz że nie chciał już dotykać jej ustami? Czy trawił go żal za czemś tak wielkim że wszelkie uciechy światowe wydawały mu się czcze i jałowe? czy namiętność tak wszechwładna iż nie dopuszczała do serca jego wszelkich poziomych skłonności? Nikt na to odpowiedzieć nie umiał.

„W miesiącu czerwcu 1831 roku, według zwyczaju wyszedł kąpać się w rzece, a nazajutrz rybacy dostawili na wybrzeże martwe jego zwłoki, uniesione prądem wody o piętnaście mil dalej. Obecni w ówczas w Niagara Anglicy, zajęli się oddaniem mu ostatniej przysługi, pochowali go na ulubionej jego płaszczyźnie, naprzeciw kaskady, w którą wpatrywał się całemi godzinami. Dowiedziano się po śmierci jego, że był Anglikiem, synem zacnego pastora — ale nikt nigdy nie poznał tajemnicy jaką ukrywał w głębi duszy, ani powodu głębokiego jego smutku i odosobienia.

„Biedny James Abbott! umarł w dwudziestym-ósmym roku życia.”

Skończywszy czytać, Jan spojrzał na Krystynę, zapytując wzrokiem o wytłomaczenie jej niezwykłej fantazyi.

— Kochany kuzynie, rzekła, zapewnie podobał ci się James Abbott, bo zachodzi między wami pewne podobieństwo. I jemu życie boleśnie dało się we znaki, i jemu zadało rany i pewnie cięższe od twoich. Mam wielkie dla niego współczucie i chciałabym... Ale jakby to powiedzieć?

— Powiedz, proszę, kuzynko.

— Oto chciałabym mieć kwiatek zerwany na jego grobie.

— Nic łatwiejszego, odpowiedział uśmiechając się; ów bogaty Amerykanin który kupił moje *Polowanie na dzika*, posiada fermę nad brzegiem jeziora Erié, w pobliżu Niagary; napiszę do niego i niezawodnie..

— O nie! tak nie chcę. Twój Amerykanin mógłby nas oszukać lub sam być oszukanym, chcę posiadać kwiatek autentyczny, i dlatego...

— Cóż, kuzynko?

— Nie śmiem powiedzieć... możesz pomyśleć żem straciła rozum.

— Tego przypuszczać nie możesz, kuzynko.

— Ale bo doprawdy, w tym razie, jestto może szaleństwo.

— Byłoby to pierwsze w twojem życiu — warto spróbować.

— Dobrze więc, otóż... ten kwiatek. . chciałabym... Nie śmiem jakoś.

— Cóż znowu! odwagi, kuzynko! Więc tedy ten kwiatek.

— Chciałabym, abyś ty go przywiózł, Janie.

— Jakto? chcesz kuzynko abym się udał po niego do Ameryki?

— Tak, ale przecież mówiłeś przed chwilą że pragnąłbyś tam być.

— Nie zwiedziesz mnie, kuzynko, jestto pomysł za oryginalny, aby nie był pokrywką innej myśli.

— Zgadłeś kuzynie, nie jedna nawet ale dwie myśli się w nim kryje. Najpierw, pragnę abyś sam zbadał na miejscu — a ja za twojem pośrednictwem — obyczaje amerykańskie. Nie będzie to dla ciebie bez korzyści, margrabio de Lizardière. Powtóre... ale tu już musisz wierzyć mi na słowo.

— Zawsze i we wszystkiem, wierzę ci, kuzynko.

— Otóż, tyle ci tylko powiem, że jedynym środkiem, abyś mógł posiąść tak słusznie ukochane przez ciebie Lizardière, jest przywiezienie mi kwiatka z grobu James Abbott'a.

— Przyznaję się, kuzynko, że mimo całej ufności, jaką pokładam w tobie, chciałbym bardzo poznać rozwiązanie tej zagadki.

— Dowiesz się go po powrocie.

— Więc to coś bardzo ważnego?

— Tak, i trzeba żebyś jechał jutro,

— Jutro?

— Tak; tylko pierwej daj polecenie swemu notaryuszowi co do kupna La Mairie. Jestto dobry interes; Leopold bardzo tego pragnie i dla ciebie i siebie ze względu na polowanie.

— Zgoda, co do La Mairie, załatwię niezwłocznie, a bukiet z żądanych kwiatów przywiozę najpóźniej za sześć tygodni.

— Za sześć tygodni... nie, to za wcześnie, mój kuzynie; daję ci dziesięć miesięcy czasu.

— A obecnie, w dziesięć miesięcy, można cały niemal świat objechać.

— Nie mam nic przeciw temu, ale mam powody dla których pragnę abyś powrócił dopiero w maju w roku przyszłym.

— Znów tajemnicza zagadka... ale sądzisz, kuzynko, że ułatwi mi to odzyskanie la Lizardière?

— Za wiele zadajesz pytań, kuzynie, nie odpowiem już na żadne.

— Ach! wszystkie kobiety są dziś złe i niedobre, nawet ty, kuzynko.

— Mylisz się, kochany Janie, nawet i co do *Niej*..

— Ach! przez litość, kuzynko, wytłomacz mi..

— Dobrze, ale dopiero jak powrócisz z Niagary— teraz ani słówka!

XVII

Podczas pobytu Jana w Ameryce

Zgodnie ze swojem przyrzeczeniem Jan wyjechał nazajutrz. Koleją żelazną udał się do Hawru, ztamtąd pakiebotem do Nowego Yorku i dalej do Albany, Montréal aż do Niagary; zostawmy go tam a zobaczmy co przez ten czas dzieje się w Marcilly, nad brzemi Maulny, nie mogącej się chełpić zapożyczaniem wód z jeziora Erié, aby utworzyć z nich jezioro Montario.

Łatwo pojąć że panna Raymunda stawiła się wiernie na *rendez-vous* wyznaczone przez hrabinę. Zaraz nazajutrz przybyła ją odwiedzić. Zarumieniła się mocno dowiedziawszy się o nagłym wyjeździe Jana, ale niebawem zawiązał się serdeczny stosunek między nią a hrabiną.

Jakże to zajmujące można czynić spostrzeżenia nad dwoma kobietami, których jedna posiada tajemnicę drugiej. Bohaterka romansu jest zawsze trochę niespokojna i pomięszana; lęka się nagany lub lekceważenia, nie chce wszystkiego mówić a pragnie aby powiernica wszystko odgadła. Miło jej słuchać słów pociechy, boleśnie stawać się przedmiotem litości; duma cierpi wtenczas jeszcze gdy serce zaczyna doznawać ulgi.

Lepszą jest daleko rola powiernicy. Najpierw gojąc rany innej, czuje się dumną mogąc się okazać dla ran tych niedostępną, choć co prawda jest przewaga chwilowa, jak n. p. doktora nad pacyentem. Powtóre, nie gniewa jej to bynajmniej, że może zbadać bolesne głębie niedoświadczanych uczuć — żałując przecież może iż ich nie doświadcza, bo zazdrościmy nietylko tym co są kochani, ale i tym co kochają.

Krystyna nie należała do tych, wątpliwie przyjaznych powiernic, bieglejszych w odkrywaniu niż w kojeniu cierpienia. Gdy raz powzięła postanowienie i nakreśliła sobie prawą drogę postępowania i nic i nikt w świecie nie zdołałby nakłonić jej do zboczenia z drogi, szlachetna, rozumna, odznaczała się niezwykłą mocą charakteru a nadewszystko tym duchem poświęcenia i zaparcia siebie, który dozwala odgadywać jakiś tajemniczy wdzięk jej spojrzenia.

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Pani Gahlen nie podzielała tego zdania, podłóg niej Hiller nie był dość gorliwym w rzeczach dotyczących religii, a liberalizm w osobach duchownych jest co najmniej niewłaściwym. Co do kazań pastora Martin, mówiących wiele o piekle a bardzo mało o miłosierdziu Bożem, nie stosowała ich do siebie, ale uważała za bardzo dobre dla innych, i zdolne sprawić na grzesznikach zbawienne wrażenie. Teodorze powstającej na oschłość i ubóstwo podobnie pojmowanej religii, odpowiedziała z żywością:

— Trzeba się zastanawiać nad wszystkiem, moje dziecko, niedbalstwo i lekkomyślność są zwykłymi wadami. Widzisz we wszystkiem tylko powierzchowną stronę; idzie ci przedewszystkiem o piękne wysłowienie, a nie zwracasz uwagi na to, co właśnie stanowi wartość kazania.

Po nabożeństwie trzeba było oddać lub przyjmować wizyty; potem następował obiad u mamy Gahlen, przy ktorej trzeba było spędzić także resztę dnia, gdyż obraziliby się gdyby syn i synowa poszli na przechadzkę wstawszy od stołu.

Tym spobem Fryderyk nie mógł poświęcić żonie nawet tego dnia w którym był wolnym od swych zwykłych zajęć, i niedziela zamiast przyjemności, przynosiła tylko nudy i ciężki przymus, a często nawet kwasy i przymówki. Pomiędzy panią Gahlen i synową, pomimo spokojnego usposobienia tej ostatniej, nie zawsze panowało dobre porozumienie. Teodora uczyła się znosić tę przykrość jak i wszystkie inne.

— Czy prędko będziesz gotowa, moje serce? pytał Fryderyk rano w niedzielę, spoglądając niespokojnie na zegarek.

— Tak, tak, natychmiast, ubieraj się a przyjdę za chwilę, odpowiadała Teodora wybiegając z pokoju.

Ale mąż mógł długo spacerować z kapeluszem w ręku zanim wróciła. Ani połajania, ani prośby nie mogły jej poprawić z jej głównej wady, to jest punktualności; zawsze musiała czegoś szukać, coś przyszywać, wydać jakiś rozkaz a to wszystko w ostatniej chwili, aż dopóki Fryderyk zniecierpliwiony, nie uchwycił ją za rękę i nie wyprowadził z domu. Wtenczas idąc już do drzwi ubierała się w kapelusz, a rękawiczki kładła zawsze na ulicy, tak drażniło Fryderyka, że obiecywał Teodorze królewski podarunek, jeźli choć raz wyjdzie w rękawiczkach na ręku.

W małych miasteczkach jest zwyczaj że ławki w kościele przechodzą na pokolenie jakby prawem spadku, dlatego też i rodzina Gahlen'ow posiadała swoją od niepamiętnych czasów.

Trudno oprzeć się pomimowolnemu uczuciu dumy na tę myśl, że należymy do rodziny która przez kilka wieków umiała przechować w nieskalanej niczem czystości, honor odziedziczony po przodkach. Więc też Fryderyk z usprawiedliwioną dumą wprowadził po raz pierwszy swą żonę do tej starożytnej, rzeźbionej ławki, tym więcej że był przekonanym że żadna z jego pobożnych prababek, nie mogła ofiarować Bogu modlitwy pochodzącej z czystszego i tkliwszego serca.

W tę niedzielę, o której mowa, gdy Fryderyk z żoną wszedł do kościoła, pani Gahlen z Heleną i Zofią, dawno już zajmowała swe miejsce, i zwróciła na nich surowe spojrzenie. Siedząc obok swych ładnych córek, w starannem ale skromnem ubraniu, z wyrazem powagi na czerstwej twarzy, mogła być uważaną za typ szlachetnej i szczęśliwej matrony. Wiedziała prawdopodobnie o tem, i prawdziwie majestatyczną godnością odpowiadała lekkiem pochyleniem głowy na ukłony znajomych.

Teodora usiadła przy siostrach męża. Gdy pierwszy raz weszła do kościoła, uderzyła ją struktura tego zabytku dawno minionych wieków, a podczas bezmiernie długiego kazania, podziwiała starodawne rzeźby, przemawiające wyraźniej do jej duszy nad słowa kaznodziei. Nie podobało się to pani Gahlen, widzącej w tem nieuszanowanie dla domu Bożego, i dała do zrozumienia; odtąd Teodora, wciągu nieskończonych kazań pastora Martin, pozwalała sobie tylko zamienić niekiedy spojrzenie z Fryderykiem, nie myślącym wcale o tem piekle którem go straszono.

— Czy pójdziecie z nami? zapytała matka wychodząc z kościoła.

Fryderyk odpowiedział że muszą pierwej oddać kilka wizyt.

— Pamiętajcie tylko o tem, że obiad będzie o pierwszej, rzekła pani Gahlen odchodząc.

Odbierała po drodze mnóstwo ukłonów, a głowy biednych pochylały się przed nią pokornie, gdyż surowa pani Gahlen była szczodrą dla potrzebujących wsparcia. „Kto umie być oszczędnym gdy idzie o drobnostki, ten może być hojnym skoro tego trzeba,“ powtarzała często.

Biedni uważali ją za osobę dobrą i miłościwą, która już niejednego uchroniła od nędzy, jeźli choroba lub brak roboty pozbawiły go zarobku.

Obiad miał być w wielkiej sali jadalnej; ciężkie dębowe krzesła otaczały stół przykryty cienkim hollenderskim obrusem, i połyskujący od kryształów i srebra służących niejednemu już pokoleniu. Brak tylko dziesięciu minut do pierwszej. Helena przysłoniwszy świąteczną suknie bieluchnym fartuchem krząta się koło stołu. Złożyła serwety, przyniosła deserowe łyżeczki, ustawiła symetrycznie krzesła, urównała sól w solniczkach, a następnie odstąpiwszy o parę kroków spojrzała czy wszystko ustawione jak potrzeba. Tak, nie brakuje niczego. Zdjęła fartuszek, przysunęła się do lustra, poprawiła włosy i krawat, obciągnęła stanik i uśmiechnęła się z zadowolnieniem. Miała do tego prawo; od wielu już lat odbijały się różne twarze w starem zwierciadle i żadna z nich nie była milszą i więcej pociągającą.

Zaledwie Helena wyszła z sali, ogromny zegar na korytarzu wydzwonił poważnie cztery kwadranse, a następnie odezwał się tak głośno raz jeszcze, że słychać go było nietylko w calutkim domu ale i w aptece. Kot śpiący pod stołem podniósł się, przeciągnął i zamiauczał, chcąc okazać że zrozumiał co to znaczy. Ze wszystkich stron otwierają się drzwi, zbliżają się kroki do salijadalnej: trzeba być posłusznym tak rozkazującemu wezwaniu.

Najpierw ukazał się pan Golden, subiekt, wraz z kilkonastoletnim chłopcem pracującym także w aptece. Stojąc za swemi krzesłami, witali ukłonem członków rodziny.

Pani domu przybyła prawie jednocześnie z innymi, a widząc że nie ma jeszcze syna i synowej, zmarszczyła brwi groźnie, i nie odpowiadała prawie Róży która zbliżyła się do niej z dziećmi, sądząc że tym sposobem zapomni o spóźnieniu się Fryderyka. Hans Altman, w tym samym celu zaczął jej coś opowiadać, ale i to na nic się nie zdało.

— Dziesięć minut po pierwszej! Heleno, każ podać obiad; nie myślę dłużej czekać, rzekła pani Gahlen, spoglądając na gruby złoty zegarek wiszący u jej paska.

Helena wyszła natychmiast do kuchni, myśląc jakimby sposobem opóźnić trochę obiad, gdy jednocześnie odezwały się na schodach śpieszne kroki.

— Przybywamy razem z wazą, zawołała wesoło Teodora.

Ale Fryderyk dostrzegł groźne chmury na czole matki, i chciał się wytłomaczyć.

— Spotkaliśmy doktora, rzekł i on to nas zatrzymał; nie mogliśmy odpowiedzieć na pytania tak sędziwego człowieka.

— Bredzisz! odpowiedziała pani Gahlen, gdyby ten sędziwy człowiek wiedział że każecie z tego powodu czekać na siebie sędziwej kobiecie, byłby was pożegnał natychmiast. Ale zapomniałeś już jak widzę co to jest być punktualnym.

Usiedli do stołu; pani Gahlen między synem i zięciem, inne osoby według starszeństwa. Teodora zajmowała zwykle miejsce przy Altmanie, ale ponieważ spostrzegła nakoniec że świekra jest w złym humorze, i nie chciała być blizko niej, ustąpiła tego zaszczytu ciotce Zelmie, sama zaś usiadła przy końcu stołu między młodszymy członkami rodziny, którzy przyjęli ją z prawdziwą radością. Tam przynajmniej można było odważyć się na jakiś żarcik, lub roześmiać się cicho, bez obawy ściągnięcia na siebie połajania lub gniewnego spojrzenia. Trzeba wiedzieć że według dawnego zwyczaju przechowanego przez panią Gahlen nie wolno było dzieciom rozmawiać przy stole, a dopuszczające się tej winy, musiały wstawać od obiadu. Później, gdy synowie i córki dorosły, trzymano się nie tak ściśle tego przepisu, ale ponieważ nie mogła znieść wszelkiego chałasu, wczasie obiadu panowało zwykle poważne milczenie, przerywane tylko niekiedy przez osoby starsze, uwagami o dobroci potraw. Nie było to wcale zabawnem, a pełnej życia Teodorze ciężył taki przymus, i poddawała mu się jedynie wrazie gdy była do tego zmuszona, skoro tylko mogła się uchronić od ścisłego nadzoru matki męża, puszczała wodze swej wyobraźni, podbudzonej jeszcze urokiem zakazanego owocu, i z ust jej sypały się wesołe żarty, dowcipne uwagi i śmieszne zagadki, z prawdziwą uciechą otaczających ją osób.

Wywołała tym sposobem wybuchy śmiechu; nawet stary Golden nie zawsze umiał utrzymać wyraz powagi na swej pargaminowej twarzy i napadający go nagle kaszel nie mógł ukryć dobrze prawdziwego stanu rzeczy; mały zaś jego pomocnik chwytał co prędzej szklankę wody chcąc w niej utopić ochotę do śmiechu, co go jednak nie chroniło od piorunujących spojrzeń pani domu, i ojcowskiego napomnienia Goldena. Córeczki Róży śmiały się otwarcie, za co znów łajała je ciotka Zelma.

— To wujenka Teo, odpowiadały tłomacząc się; ale jakkolwiek nie raz były strofowane z jej powodu, kochały ją bardzo; tak chętnie zawsze bawiła się z nimi, ubierała im lalki, opowiadała historyjki, tłomaczyła znaczenie obrazków. Jeźli jednak dzieci tak lubiły towarzystwo Teodory, to i ona niemniej lubiła zajmować się nimi, skracała sobie tym sposobem nieznośnie długie popołudnie dni świątecznych.

U swej matki znała niedzielę taką jak być powinna, to jest jako dzień poświęcony modlitwie, spoczynkowi i rozrywce, tu była dniem ciężkich, zabijających nudów.

XIII.

Nowy powód niezadowolnienia.

Najlepszym dowodem, że Teodora posiadała jakiś urok, którym pociągała ku sobie serca, było to, że w krótkim czasie zjednała sobie życzliwość wszystkich mieszkańców starego domu Gahlenów w którym wiadomość o jej przybyciu rozbudziła tyle uprzedzeń i ukrytej zazdrości. Tylko surowa pani Gahlen potrafiła oprzeć się temu urokowi, jakkolwiek, dzięki cierpliwości z jaką synowa znosiła jej strofowanie, patrzyła trochę pobłażliwszem okiem na jej wady, które nie mogły się ukryć przed wzrokiem tak wzorowej gospodyni.

Stosunki Teodory z siostrami męża były teraz zupełnie przyjazne, Helena pokochała ją od pierwszego widzenia, a Róża miała charakter spokojny i zgodny, a najżywsze napady jej gniewu lub oburzenia wywołane zazdrością o męża, nie mogły się oprzéć żarcikom lub pocałunkowi. Zresztą przekonała się że jej świeżutka twarzyczka i drobna figurka nie traciła nic na obecności Teodory, której klasyczne i wyraziste rysy, cera śniadawa, kibić wysoka i szlachetne ruchy, stanowiły tak odmienny typ piękności, że zachodząca między nimy sprzeczność dla każdej z nich była zarówno korzystną. Co więcej, Teodora trafiła od razu do serca pani Altman, zjednywając sobie serduszka jej dzieci.

Zofia dłużej się opierała. Czem lepiej poznawała bratowę tem silniej to czuła że pod względem talentów i wykształcenia, któremi się dotąd tak pysznila, stoi daleko niżej od żony Fryderyka. Szczęściem, Teodora ani nie była próżną ani zarozumiałą, i tak chętnie pozwoliła Zofii czerpać ze swej biblioteki, oraz ofiarowała swą pomoc w nauce języka angielskiego, że tym sposobem przezwyciężyła jej niechęć. Odtąd Zofia, według słów jej matki, myślała tylko o „uczonościach”, a jak wiemy, pani Gahlen nie ceniła tak bardzo nauki i uczonych.

— Nie lubię aby moje córki zajmowały się takiemi niedorzecznościami, mówiła często, odrywając Zofię od książki lub Helenę od fortepianu. Nauczyłyście się już tego co wam potrzebne, a teraz nie zapominajcie tylko, że dla kobiety niezbędne są cnoty domowe, i dosyć jej na tem.

Zofia bynajmniej tem nie przekonana, pracowała dalej gorliwie, chcąc dorównać Teodorze, Helena zaś odwiedzała bardzo często bratowę, która dawała jej lekcye muzyki, i cieszyła się szczerze jej postępami. Cieszyło ją to że przyniesie jakąś iskierkę życia do tego starego domu w którym serca usychały pod wpływem poziomych zatrudnień i myśli.

Jednak wpływ Teodory oddziaływał najsilniej na Joasię, której uwielbienie z początku dziwiło a następnie wzruszyło serce młodej pani Gahlen, tkliwe na cierpienia innych. A rozmarzona i egzaltowana Joanna cierpiała wiele pod żelazną ręką mamy Gahlen. Prócz Heleny nikt w domu nie kochał lękliwej i roztargnionej Joasi, której smutek powiększała jeszcze miłość nieszczęśliwa, i na którą spadały tylko ze wszystkich stron połajania lub ostre żarty.

Teodora odgadła wkrótce co mogło oddziałać zbawiennie na umysł sieroty: trzeba było przywrócić w nim równowagę za pomocą systematycznie przeprowadzonej nauki. Lubiła namiętnie czytać, pochłaniała więc wszystko co jej wpadło w ręce, a ponieważ ciotka nie pozwoliłaby jej w dzień tracić tak bezużytecznie czasu, wynagradzała to sobie w nocy, pewna że Helena jej nie zdradzi. Nie okazało się to jednak dla niej korzystnem tak pod względem fizycznym jak i moralnym, gdyż oddawała się coraz więcej marzeniom bez związku i celu, a brak snu wpływał szkodliwie na jej zdrowie. Nie mogła się nadewszystko nasycić dziełami Jean-Paul'a i odczytywała je ciągle, co przekonało Teodorę że jej ulubiony poeta może działać bardzo zgubnie na pewne usposobienia. Dla niej, jako obdarzonej silnym umysłem, mógł być nieszkodliwym, ale Joanna żyła w jakimś urojonym świecie a zapominała coraz bardziej o rzeczywistym.

Teodora zajęła się szczerze kuzynką męża, i po niejakim czasie spostrzegła z radością że jej oczy straciły stopniowo wyraz smutku i zniechęcenia, a zaczynały spoglądać z zajęciem na to co się koło nich działo. Ale trzeba było znaleźć jakiś zdrowy pokarm dla tego serca trawionego bezczynnością, i Teodora po głębokim namyśle, prosiła męża aby się starał wyjednać od matki pozwolenie na wyjazd Joasi do stolicy, gdzie będzie mogła posunąć się wyżej w naukach, zdać egzamin, zostać nauczycielką i rozpocząć życie użyteczne, stokroć zaszczytniejsze nad położenie siostrzenicy wychowanej i żywionéj nie z przywiązania ale z miłosierdzia.

Trudne to było zadanie skłonić panią Gahlen do zezwolenia na coś podobnego, i z pewnością usiłowania Fryderyka i Teodory nie przyniosłyby pożądanego skutku, gdyby Joasia nie okazała w tym razie zadziwiającej energii. Zazwyczaj wahająca się lękliwa, oświadczyła pewnego dnia ciotce, że na mocy zezwolenia swego opiekuna, pana Wunderlich, postanowiła udać się do stolicy i tam posunąć się o tyle w naukach, aby mogła zostać nauczycielką, pracować na swe utrzymanie, i nie być już dla nikogo ciężarem. Pan Wunderlich zapewnił ją że mały jej kapitalik wystarczy na opłacenie nauczycieli i na tymczasowe utrzymanie; tem więcej że pani von Kleist oświadczyła iż jest gotowa przyjąć ją u siebie jak własną córkę. Teraz więc pozostaje jej tylko podziękować ciotce za wszystkie dowody jej dobroci, i prosić aby się nie gniewała na nią, jeźli te zamiary nie zgadzają się z jej zasadami.

W pierwszej chwili pani Gahlen tak była zdumioną zuchwalstwem tej która dotąd drżała przed nią, że nie wiedziała co ma odpowiedzieć.

— Joanno! Kto ci obałamucił głowę takiemi niedorzecznościami? zawołała nakoniec z gniewem. Ty chcesz być nauczycielką, ty?... Otóż ja zaręczam ci że nie potrafisz niczem być na świecie.

— Pocieszam się nadzieją że tak źle nie będzie, odpowiedziała zimno Joanna. Uznaję teraz całą słuszność zdania Teodory, że zamiast oddawać się marzeniom powinnam pracować.

— Teodory! Że też nie domyśliłam się tego, tylko w jej głowie mogą powstawać podobne pomysły! Gdyby jej słuchano, wszystkie kobiety zostałyby wkrótce sawantkami i Bóg wie czem jeszcze więcej. Słuchaj, Joanno, wolno ci postąpić jak zechcesz; nie jesteś moją córką, a skoro twój opiekun śpiewa z tego samego tonu, nie mam prawa zatrzymywać cię u siebie. Ale co do moich córek, to póki ja żyję muszą mi być posłuszne, bo sądzę że wiem lepiej od pani Teodory, co może być właściwem dla młodej panienki.,. Pracować! temu nie przeczę, ale praca pracy nie równa.

W kilka dni później Joanna pożegnała swe rodzinne miasto, udając się do zacnej pani Kleist, pod której dozorem miała pobierać nauki. Serce sieroty napełniała radość i nadzieja na myśl że pozostawia za sobą swoje smutne i gorzkie życie, aby znaleźć najprzód szczerą życzliwość, a następnie poważanie należne tym, którzy walcząc mężnie z losem, potrafią zdobyć sobie choćby skromne ale niezależne stanowisko.

— Przyrzecz mi że przez cały rok nie weźmiesz do ręki żadnego dzieła Jean-Paul'a, rzekła Teodora z uśmiechem, żegnając kuzynkę.

— Bądź o to spokojna, odpowiedziała Joasia; matka twoja będzie mogła zaświadczyć że umiem pracować gorliwie.

Teodora uszczęśliwiona że wskazała Joannie właściwą dla niej drogę, cieszyła się także tem że pani Kleist nie będzie tak osamotnioną. Joasia nie może być dla niej tem czem była córka, to nie podpada wątpliwości, ale tkliwe i szlachetne serce matki nie oprze się szczeremu uczuciu dla sieroty, która jej to odpłaci pełnem szacunku przywiązaniem.

Mathison powiedział „Piękna to rzecz samotność”, ale potrzebujemy zawsze mieć przy sobie kogoś, komu moglibyśmy od czasu do czasu powtarzać: „Jakaż to piękna rzecz ta samotność”. Od wyjazdu Teodory te słowa przychodziły często na myśl pani Kleist, cieszyła się też że będzie mieć towarzyszkę, i nie żałowała nigdy tego że ją pozyskała. Joanna przywiązała się z całej duszy do swej zacnej i dobrej opiekunki, od której odbierała dowody tkliwej troskliwości, a pani Kleist pisząc do córki, donosiła że Joanna czyni zadziwiające postępy w naukach, i unosiła się nad słodyczą jej charakteru. Wszystko więc było jak najlepiej?

Nie wszystko niestety! Teodora usiłując zapewnić Joannie szczęśliwszą przyszłość, rozbudziła na nowo, trochę już uśpioną niechęć matki męża. Nikt dotąd nie poważył się postąpić wbrew woli pani Gahlen, dla tego też była najsilniej przekonana, że siostrzenica nie śmiałaby zrzucić z siebie jej jarzma, według niej jarzma zdrowego rozsądku — gdyby jej do tego nie zachęciła Teodora. Tego już pani Gahlen nie mogła przebaczyć synowej; kto wie zresztą czy nie zechce przewrócić w głowie jej własnym córkom? Poznała od razu wszystkie wady Teodory—widziała nawet takie których nie było—ale teraz wydawały jej się jeszcze ważniejszemi, i nie szczędziła z tego powodu uwag nieodznaczających się delikatnością. Nieszczęściem, Teodora powiększała to niezadowolnienie pomimowolnie i nie wiedząc o tem. Surowa matka przywiązywała wiele znaczenia nawet do drobnych dowodów uszanowania, wymagała ich od swych dzieci, i gniewała się że ich nie odbiera od żony Fryderyka, która wskutek swej żywości i nieuwagi wyprzedzała ją gdy przechodziły razem przez pokój, zobaczywszy ją zdaleka przesyłała poufale od ust pocałunek, siadała w jej fotelu, albo też posługiwała się jej naparstkami i nożyczkami. Nadewszystko, pani Gahlen nie mogła znieść tego aby jej przerywano gdy mówiła, i skoro Teodora dopuściła się parę razy tego przewinienia, musiała długo prosić i prawie błagać o przebaczenie, zanim obrażona matka zechciała mówić dalej. Na domiar tych wszystkich przekroczeń, Teodora przyzwyczajona wśród dawnych przyjaciół do swobodnego objawiania i utrzymywania zdań swoich, odpierała otwarcie mylne podług niej twierdzenia. Zapomniała zupełnie o tej dawnej ale wybornej zasadzie dobrego znalezienia się w towarzystwie: „Pamiętaj o tem że trzecie zaprzeczenie staje się impertynencyą“. Zaprzeczała nietylko trzy ale cztery i pięć razy, i zatrzymywała się dopiero wtenczas, gdy to przewinienie wywoływało nareszcie przykre dla niej skutki. A cóż powiedzieć o niedbałem i nieumiejętnem utrzymywaniu domu i gospodarstwa!

(D. c. n.)

Opis do N-ru 29.

N. 1 i r. 36 i 41 w N. 30. Ubranie spacerowe z draperyą fałdowaną.

Ryc. 1 i ryc. 41 w N-rze 30 przedstawia z przodu i z tyłu ubranie spacerowe odrobione z gazy płóciennej, materyału lekkiego i klarownego, wyrabianego z nici szpagatowego koloru ficelle; do przystrojenia służą kokardy z aksamitnej, 6 cent. szerokiej wstążki koloru bordo lub ciemno ponsowego i 5 cent. szeroka koronka ficelle, z której dane mankiety i chusteczkowy garnirunek na staniku. Na tylnym brycie naszyte są cztery falbany 20 cent. szerokie, oszyte 10 cent. szerokiem plisowaniem, ułożone w duże fałdy; jedna taka falbana dana u dołu z przodu sukni, na którą zachodzi fartuszkowa draperya podana w połowie na małym modelu ryc. 23, także plisowaniem oszyta i ułożona w 10 fałd, schodzących się do środka. Po brzegach pozostawione są części gładkie, w których nacina się otwory do przewleczenia wstążek aksamitnych. Górną draperyę układa się z poprzecznie obróconego bryta, którego miarę przez połowę dajemy na ryc. 23a; a środek przodu oznaczony jest linijką kropkowaną. Bryt ten zeszywa się z tyłu, oszywa u dołu plisowaniem, 17 cent. szerokiem, z boków podpina się krótko, z tyłu fałduje się w górze i spuszcza luźno. Przody stanika aż do szwów bocznych oszyte są plisowaniem, 4 c. szerokiem, tylną baskinę stanowi kwadrat podwójny, trzymający 40 cent, przyfałdowany i lekko podpięty, niknący pod kokardami i końcami z aksamitki.

N. 2 i r. 22 w N. 30. Ubranie spacerowe, z długą draperyą fartuszkową.

Część spódnicy widoczną z pod długo w ząb spuszczonej fartuszkowej tuniki pokrywa poprzecznie fałdowana draperya lub aksamit dany gładko, z boków wszyty razem z brzegami bufiasto upiętego tylnego bryta, pomiędzy szwy spódnicy. W ząbki wycięta, 28 cent. szeroka falbana, zakończona przemarszczonym nagłówkiem, zachodzi na skośną, 8 cent. szeroką plisę aksamitną. Ryc. 2 przedstawia suknię z fularu w drobny rzucik, ze zgrabnym bawetowym stanikiem, oszytym w koło szerokim suto nadmarszczonym wolantem zakończonym nagłówkiem trzy razy przemarszczanym. Stanik zdobi oddzielnie ułożony, marszczony garnirunek, z brzegów oszyty wązką, w rurki układaną falbanką. Na ryc. 22 w N. 30, dajemy suknię z gładkiego materyału, ze stanikiem z kolistą baskiną, na którą zachodzi draperya poprzecznie fałdowana, z boków dopełniona fałdowanym aksamitem.

N. 3—4. Kuferek z poduszką do siedzenia, ozdobioną haftem marokańskim.

Piękny kufereczek ozdobiony snycerską robotą, 60 c. długi, 38 szeroki a 41 wysoki, miał wieko gładkie i równe, na które kładzie się poduszka do siedzenia, wysłana włosieniem, z wierzchu pokryta haftem marokańskim, robionym na żółtawem płótnie jedwabiem purpurowym. Ponieważ ściegi robią się podług obliczonych nitek, więc dla ułatwienia roboty płótno dobiera się dość grube, nie zbyt gęste i niemaglowane. Na r. 4, dajemy w naturalnej wielkości część deseniu i szlaku, którego kontury trzeba cienkiemi linijkami ołówkiem odznaczyć; następnie deseń pozostawić odkryty, a tło zarobić ściegami prostemi, pokrywającemi 6 nitek w płótnie z których 5 pozostaje pod długim ściegiem, a pod szóstą wkłada się igłę. Następnie rzędy ściegów mijać się powinny jak to widać na deseniu; przy brzegach figur daje się gdzie potrzeba krótsze ściegi. Na modelu dla urozmaicenia roboty, w jednych kwadratach ściegi szły podłużnie a w drugich poprzecznie. W rogach szlaku umieszczone były pompony włóczkowe, takiego koloru jak pluszowy spód poduszki.

N. 5—7. Rękawiczki długie siatkowe, robione z cienkiego francuzkiego jedwabiu na drucie stalowym; próbka siatki i deseń wyszycia naturalnej wielkości na ryc. 6, próbka koronki brzeżnej na ryc. 7.

N. 8—10. Serweta na stół. Haft krzyżowy i kratki ażurowe.

Serweta trzymająca 160 cent. w kwadrat, licząc razem z frendzlą, robiona była na płótnie kanwowem, ściegiem pojedyńczym i krzyżowym, jednakowym na dwie strony. Deseń szlaku 17 cent. szeroki, łatwo dobrać można pomiędzy podawanemi w roku przeszłym i bieżącym; do haftu użyć trzeba wypróbowanej do prania bawełny tureckiej lub jedwabiu kolorowego. Na modelu wstęgi deseniu były ciemno niebieskie, liście w dwóch cieniach oliwkowo-zielonych i w dwóch czerwonawo jesiennych, kwiaty ponsowe i niebieskie do cieniu. Po obydwóch stronach szlaku krzyżowego dane były szlaki z kratek ażurowych, wiązanych na nitkach wyciąganych w płótnie, zakończone szlaczkami wyszytemi przeważnie ściegiem pojedyńczym kolorem ponsowym i szafirowym. Frendzla z nagłówkiem wiązanym jest wysiepana w płótnie kanwowem; próbki kratek z wyszytemi szlaczkami dajemy na ryc. 9 i 10.

N. 15—19. Haft z aplikacyą na wyściełaną poręcz do krzesła albo na poduszkę.

Haft taki służyć może zarówno na podłużną poduszkę jak i na krzesło z wysoką poręczą, zaleca go pospieszna i łatwa robota, oraz ładny dobór kolorów. Na tle z pluszu ciemno bordo dobrze odbija aplikacya w kształcie liści z atłasu popielatego cendré, oszyta z brzegu dość grubym sznureczkiem kręconym jedwabnym, zielonawo popielatym, a w małym od brzega odstępie naszyta sznureczkiem złotym. Środek liści zdobią palemki jak na r. 17, naprzemian z kwiatkiem jaki dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 16. Palemki robione były cieniem różowym i piaskowym, kwiatki naprzemian cieniem bronzowym i blado lila, a promieniste środki nitką złotą; supełki w środku palemek złotem a w osadzie i w listkach robić jedwabiem zielonym, osadę liści aplikowanych kordonkiem ciemno zielonym do cieniu ściegiem płaskim, a gałązki ściegiem plecionym grubą filozelą trawnego koloru. Liście arabeskowe na tle pluszowem haftować ściegiem płaskim cienką sznelą trawnego koloru; arabeskowe figury na czubku liści obwieść sznureczkiem złotym, a punkcik środkowy zrobić sznelą. Na wązki szlaczek w koło brzegu dajemy dwie stosowne próbki na ryc. 18 i 19.



N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z draperyą fałdowaną. Patrz ryc. 36 tudzież ryc. 41 w N-rze 30. N. 2. Suknia z długą draperyą fartuszkową. Patrz ryc. 22 w N-rze 30.

N. 22—23. Sukienka dla dzieci lat 3—5.

Na ryc. 22 i 23 podajemy z przodu i z tyłu dogodną i łatwą do odrobienia sukienkę dziecinną. Na długi stan ułożony w koło w 17 kontrafałd 2 i pół cent szerokich, trzeba 140 cent. szerokiego kawałka materyału, zakończonego u dołu podwójnie złożoną, 8 cent. szeroką bufą 3 razy przemarszczoną, pod którą przyszywa się spódniczkę. Na modelu do ryc. 22 spódniczka sukienki bastowej, ogarnirowana była plisowaniem 5 cent. szerokiem i 11 c. szerokim szlakiem haftu w kolorach i guście tureckim, robionego na tle szafirowem. Ryc. 23 przedstawia sukienkę z purpurowego zefiru, ogarnirowaną dwoma falbankami oszytemi kolorową bórtą i koronką triming. Wykrój szyi oszyty paskiem kilka razy przemarszczanym; na ramieniu kokarda z aksamitki albo ze wstążki w atłasie.

N. 26. Ubranie spacerowe z pelerynką.

Do spódnicy bez garnirunku, odrobionej z gładkiego, wełnianego materyału, dodane jest długie, w sute fałdy ułożone i gładko spuszczone vêtement z deseniowego materyału. Do pleców pelerynki dodane są w krajaniu części rękawa nadmarszczone i odstające w górę na ramionach a nadające wcięcie plecom.

N. 27. Mantylka upięta z rotundy koronkowej. Zobaczyć wewnętrzną stronę mantylki na ryc. 34 w N. 30, a model upięcia na ryc. 35.

Na ryc. 35 wskazujemy w jaki sposób można upiąć zręczną mantylkę z dużej koronkowej rotundy, nie przecinając takowej. Najpierw zawija się do spodu górną część rotundy, na 35 c. długości od wykroju szyi, a dalej podług oznaczonej linijki, potem zaszywa się w złożonej koronce wykrój szyi od *a* do *b*, i 4 mniej lub więcej głębokie, podług figury dopasowane zaszewki na ramionach. W skutek takiego układu przednie brzegi rotundy schodzą się z tyłu, gdzie trzeba je zeszyć na 40 c. długości gwiazdką do gwiazdki, a podług krzyżyków i punktów założyć fałdy. Tym sposobem zaokrąglone dolne brzegi rotundy od dwukropków do punktow stanowić będą brzeg dolny całej mantyli, a od punktów do środkowych krzyżyków część górną, na wierzch wywiniętą, w której trzeba zaszyć oznaczone fałdki. Od spodu dać wstążki do wiązania w pasie

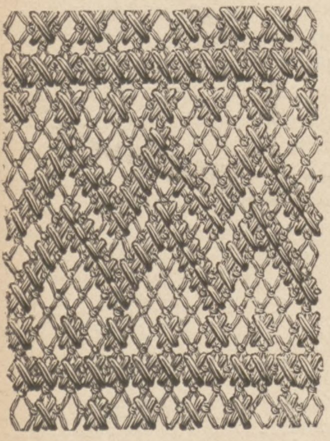
N. 28—29. Kufereczek na biżuterye, ozdobiony haftem krzyżowym.

Mały tekturowy kufereczek pokrywa się wewnątrz atłasem, a z wierzchu aksamitem ozdobionym wyszyciem krzyżykowem na podłożonej kanwie, do którego deseń dajemy na ryc. 29. Model pokryty był z wierzchu ciemno zielonym aksamitem, a deseń wyszyty był jedwabiem złotego, purpurowego i niebieskiego koloru.

N. 30. Stanik ubrany koronką i aksamitem.

Z przodu pomiędzy fałdy stanika wstawiony jest pas aksamitu w górze 8 cent. szeroki, do dołu zwężony i pra-

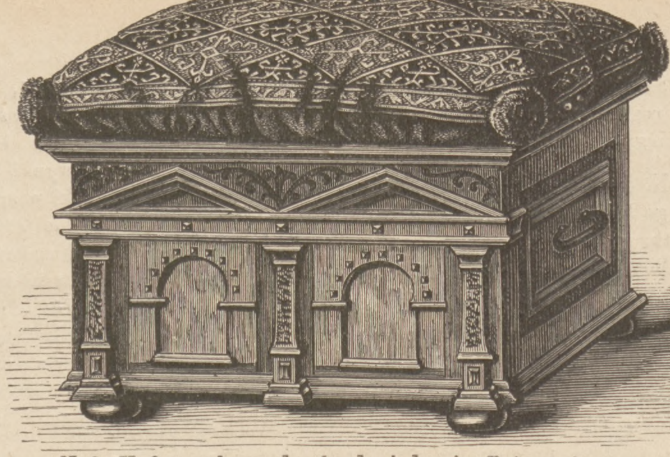
wie zupełnie przykryty wachlarzowym garnirunkiem z koronki. Plecy są także w środku w fałdy ułożone. Pod bawetowym aksamitnym paskiem, wszytym między szwy boczne, wycina się podszewkę z pod stanika, ażeby baskina lekko spuszczona była nakształt falbany.



N. 6. Wyszycie na siatce do r. 5.

N. 31 i r. 20 oraz ryc. 8 w N. 30. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

Spódnicę ciemnej perkalowej sukni pokrywają cztery wolanty marszczone, u dołu w zęby wycięte, mające 27, 30, 34 i 37 c. szerokości. Przody stanika z baskiną rozchodzą się szeroko na bluzce z kremowego batystu w ponsowy rzucik, którą robi się z dwóch kawałków 35 c. szerokich, a 53 długich, przymarszczonych, falbanką 4 c. szeroką oszytych i przepasanych paskiem 6 c. szerokim, na klamrę z konchy perłowej zapiętym. Do pleców stanika dodać trzeba draperyę z dwóch prostych przerzuconych brytów, których miary podane są na małym modelu ryc. 20. Zobaczyć upięcie draperyi na rycinie 8 w N-rze 30.



N. 3. Kufereczek z poduszką do siedzenia. Patrz r. 4.

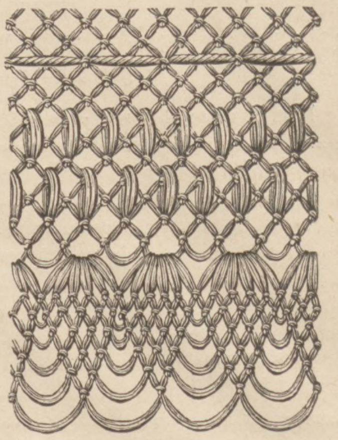


N. 5. Długie rękawiczki siatkowe. Patrz ryc. 6—7.

Opis do N-ru 30.

N. 1. Sukieneczka fałdowana, zapięta z boku, dla dziewczynki lat 6—8. Krój dopasować można podług ryc. 32 w N-rze 28.

Uszyta z różowego zephyru i ciemnej satynki; podług powyżej wskazanego kroju trzeba dopasować tylko podszewkę gładką, materyał zwierzchni kraje się w całej długości bez karczka i naddaje na fałdy założone szerzej. Na spódniczce plisowanej przyszytej pod szarfą, odznaczone jest w dalszym ciągu zapięcie z boku na guziczki.



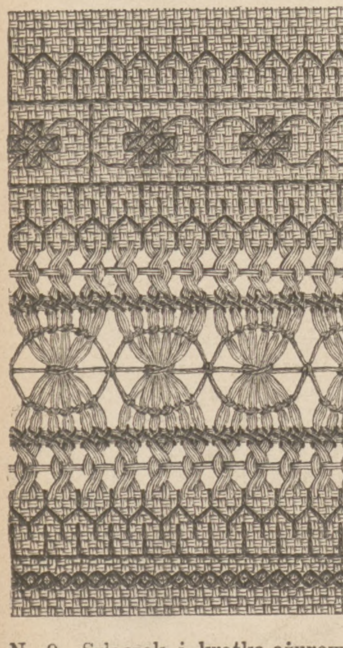
N. 7. Szlaczek i zakończenie do rękawiczki siatkowej ryc. 5.

N. 2. Płaszczyk z pelerynką, dla małej dziewczynki.

Płaszczyk odpowiedni tylko na lato do ubrania spacerowego, uszyty z białej deseniowej piki, jest przybrany falbanką haftowaną 6 cent. szeroką i wązkiemi stębnowanemi pliskami. U dołu pleców dane kontrafałdy założone pod spód; pelerynka w środku z tyłu przecięta, z przodu rozchodząca się w ząb, jest 19 cent. długa, a 82 c. liczy dolnego obwodu. Z boków dodane kieszonki są po 11 c. szerokie a 6 długie, guziczki z konchy perłowej.



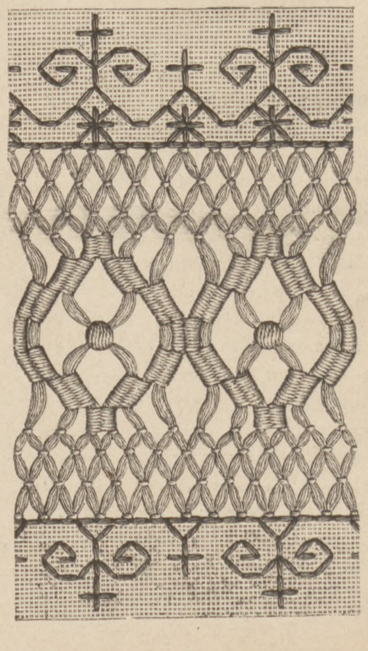
N. 4. Haft marokański, (tło i szlaczek) do ryc. 3. (Wielkość naturalna.)



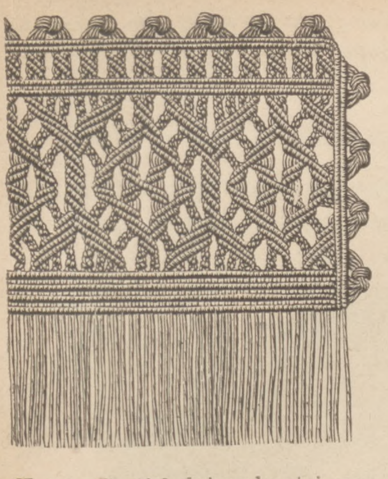
N. 9. Szlaczek i kratka ażurowa do ryc. 8.



N. 8. Serweta ze szlakiem krzyżykowym i kratką ażurową. Patrz ryc. 9—10.



N. 10. Szlaczek odpowiedni do serwety ryc. 8.



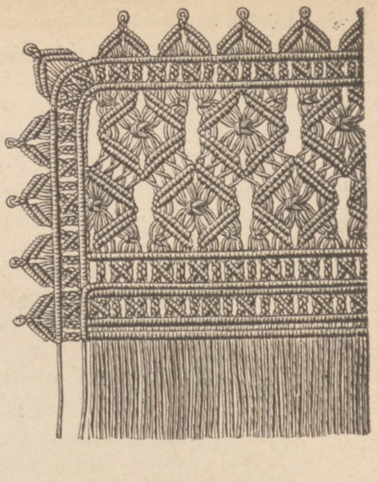
N. 11. Część kołnierzyka stojącego robotą wiązaną „macramé“. Patrz wykonanie w powiększeniu na r. 12.

N. 3, 7 i 27. Suknia z tuniką.

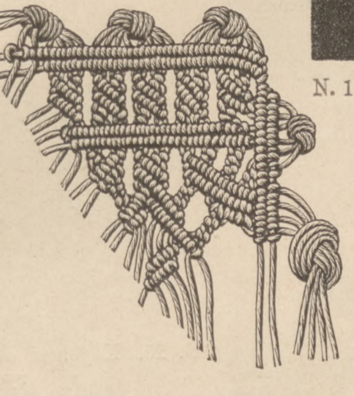
Przedstawiona z boku na ryc. 3 a z tyłu na ryc. 27, może być wykończona z gładkiego i deseniowego materyału, ale bez porównania efektownie j przeddstawia się z gładkiej kolorowej satynki, pokrytej materyałem koronkowym, jak to r. 3 wskazuje. Spódnica z bronzowej satynki, naszyta trzema koronkowemi falbanami, po 11 c. szerokości, przedzielanemi bufką z satynki 8 cent. szeroką. Tunika, której wymiar podajemy na ryc. 7, wymaga prostego kawałka, którego znakomita długość przy górnym brzegu marszczy się trzykrotnie od gwiazdki do gwiazdki, odpowiednio do szerokości paska od spódnicy. Linja kropkowana na ryc. 7 oznacza środek przodu, upięcie boczne dane odmiennie z każdej strony; z prawego boku fałdy przytrzymane są wachlarzowym garnirunkiem z koronki, sięgającym do dwukropka, niżej zaś brzeg przedni puszczony jest na 36 c. długości. Z lewego boku tunika składa się w ścisłe fałdy podług krzyżyków i kropek, zebrane w górze, dalej zaś na przestrzeni zestawionej gładko złożona jest szeroka kontrafałda, przepięta kokardami z aksamitki. Upięcie tuniki jaśniej niż opis objaśnią ryc. 3 i 27, podług których podpina się sute bufy z tyłu. Stanik z baskiną ma odznaczoną kamizelkę, przez naszycie koronki i aksamitki. Karoczko ułożone z dwóch trójkątnych kawałków, których boki proste liczą po 30 cent. Kokardy z aksamitki 3 cent. szerokiej.



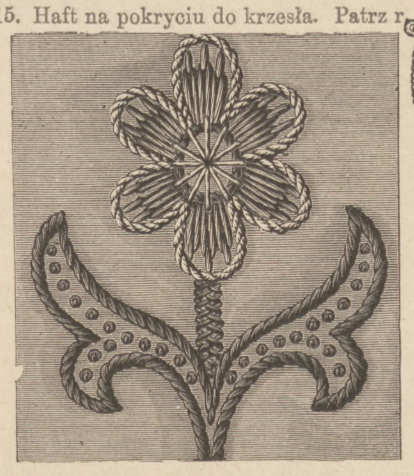
N. 15. Haft na pokryciu do krzesła. Patrz r. 18—19.



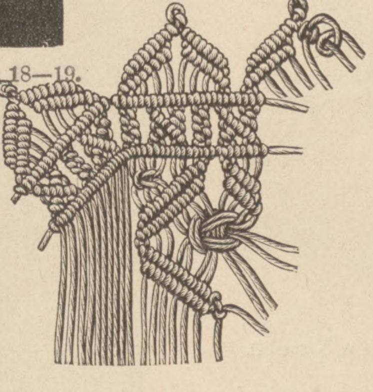
N. 13. Kołnierzyk robotą wiązaną „macramé“. Patrz r. 14.



N. 12. Zaczęcie roboty wiązanej od narożnika, do ryc. 11.



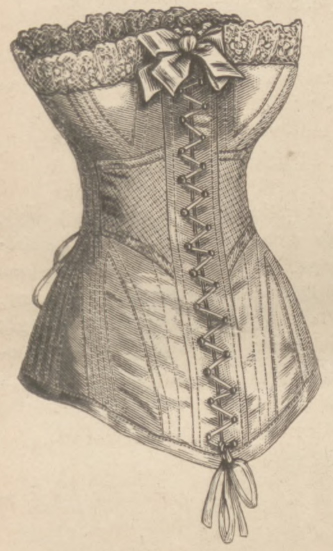
N. 16. Gałązka haftowana do r. 17.



N. 14. Zaczęcie roboty wiązanej od narożnika. Patrz ryc. 13.

N. 4. Suknia z szarfą.

Odpowiednia dla młodej osoby, może być odrobiona z cienkiego wełnianego materyału gładkiego i deseniowego. Spódnica przykryta jest na 80 cent. wzdłuż drobniutkiem plisowaniem z granatowego poult de laine. Draperya przednia dana z cienkiej ponsowej materyi, przerabianej w granatowe wielkie grochy, po sfałdowaniu przeprowadzona jest do tyłu i przedłużona w szarfę; liczy 60 cent. szerokości a 360 długości. Panier przysłaniające draperyę, fałduje się suto z dwóch kawałków zmarszczonych w górze, po 60 cent. szerokich, a 125 długich. Stanik z bawetem, ma kołnierzyk stojący i wykłady aksamitne i dopełniony jest aksamitnym plastronem 17 cent. szerokim, przy którym w górze dana bufa z ponsowej materyi przysłonięta koronką wychodzącą z pod ranwersów. Karoczko podpięte w bufę, dopełnione fałdowaniem aksamitnem.



N. 20. Gorset z klinami elastycznemi, dogodny dla osób słabych.



N. 21. Gorset z wszytemi z przodu pasami elastycznemi, dla osoby cierpiącej astmę.

N. 5. Kapelusik dla dziewczynki. Patrz ryc. 25 w N. 29

Ryc. 5 i 25 przedstawiają duży okrągły kapelusz z florenckiej słomki, z rondem wysoko podniesionym z jednego boku, z tyłu wygiętem w fałdę, podszytem od spodu marszczoną



N. 17. Część haftu z aplikacyą do ryc. 15. Patrz ryc. 16—19.



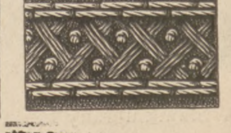
N. 22. Sukienka dla dziecka lat 3—5. Patrz ryc. 23.



N. 23. Sukienka dla dziecka lat 3—5. Patrz ryc. 22.



N. 18. Szlaczek łączący tło z brzegiem do ryc. 15.



N. 19. Szlaczek do ryc. 15.

w bufki materyą surah i rulonikiem z atłasu lub z pluszu, 3 c. szerokim. Przybranie zwierzchnie dane z wstążki ottoman 10 c. szerokiej i z piór strusich.

N. 6. Szlak do serwet i t. p.

Na tle z jasnego kolorowego atłasu rysuje się deseń, który zapełnia się najpierw równo naszytemi nitkami czarnego kordon-



N. 24. Kapotka dla dziewczynki. Opis w N-rze 30.

ku, przymocowanemi niewidocznie poprzecznemi ściegami, cieniutkim jedwabiem, jak to wskazuje ryc. 6. Kontury deseniu wyszyte są sznureczkiem srebrnym.

N. 9—14. Serwetka podłużna. Ścieg jednakowy na dwie strony.

Ryc. 8 przedstawia podłużną serwetkę ozdobnie wyszytą w pasy szersze i węższe, odpowiednią do położenia na środku stołu na obrusie. Szerokość serwetki wynosi 45 c. a długość 190; dla udogodnienia wyszywania złączona jest z dwóch części spojonych taśmą, w sposób wskazany na ryc. 10. Stosownie do grubości płótna użytego na tło, deseń wyszywa się na dwóch



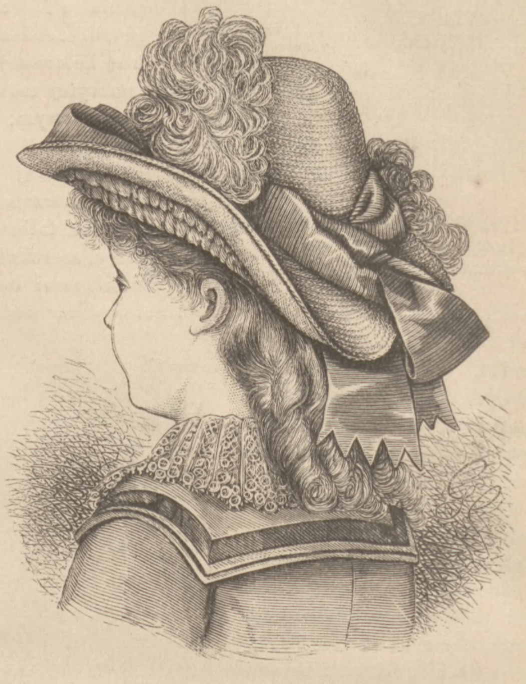
N. 26—27. Ubrania spacerowe.

N. 26. Suknia z pelerynką. N. 27. Okrycie z rotondy koronkowej. Patrz ryc. 34—35 w N-rze 30.

lub czterech nitkach w kwadrat pod każdy ścieg. Do wyszycia można użyć jedwabiu ponsowego, filozeli lub bawełny dobrych do prania.

N. 15—17. Koronka z tasiemeczki robionej ręcznie.

Ponieważ u nas tasiemeczki koronkowe są bardzo drogie i dla wielu osób przez to utrudniają robotę koronek, podajemy



N. 25. Kapelusz okrągły dla dziewczynki. Patrz ryc. 5 w N-rze 30.

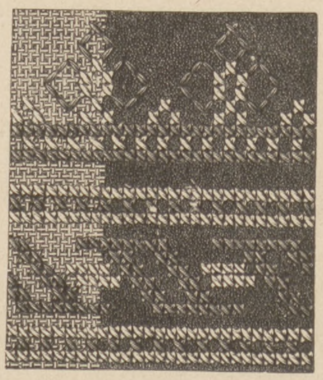
więc dwie próbki wązkiej tasiemeczki którą można robić ręcznie robotą wiązaną z 16 nitek; napięcie wskazują ryc. 16—17.

N. 18. Rozeta aksamitna.

Odpowiednia do kapeluszy, chusteczek na szyję i t. p., układa się ze skosu aksamitu 9 cent. szerokiego a 110 długiego, zszytego z sobą długiemi krytemi ściegami. Dolny brzeg jest zmarszczony, poczem skos układa się podług ryc. 18 w okrągłą rozetę na podstawie ze sztywnego tiulu 4 cent średnicy. W środek wpięta szyldkretowa szpilka w kształcie półksiężyca.



N. 28. Kufereczek na kosztowności. Patrz ryc. 29.



N. 29. Szlaczek do ryc. 28.

N. 19. Kapotka dla dziewczynki. Patrz ryc. 24 w N. 29.

Fasonik z białej słomki florenckiej, z główką 4 cent. szeroką i rondkiem 7 cent. szerokiem, przybrany jest z wierzchu sutemi rozetami z wstążki atłasowej, jak to ryc. 19 wskazuje. Rondko odstające nad czołem, podszyte marszczonym atłasem i podgarnirowane riuszą koronkową podług ryc. 24 w N-rze 29.

(D. n.)



N. 30. Stanik ubrany koronką i aksamitem.



N. 31. Suknia ze stanikiem kaftanikowym. Patrz ryc. 20 tudzież ryc. 8 w N-rze 30.